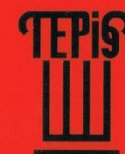


25
oj.

Olgierd Wojtasiewicz

WSTĘP DO TEORII TŁUMACZENIA



WYDAWNICTWO TEPiS
Polskiego Towarzystwa Tłumaczy
Ekonomicznych, Prawniczych i Sądowych

Warszawa 2005

WSTĘP DO TEORII TŁUMACZENIA. Wydanie czwarte

Wydanie pierwsze: Zakład im. Ossolińskich – Wydawnictwo
Polskiej Akademii Nauk, Wrocław – Warszawa 1957

Wydanie drugie i trzecie: Wydawnictwo TEPIS

© Copyright by Wydawnictwo TEPIS

ISBN 83-85430-80-6

Skład:
EXIT
lang@exit.pl

Wydawca:
Wydawnictwo TEPIS
Skr. poczt. 23
00-967 Warszawa 86
tepis@polishlaw.com.pl

SPIS TREŚCI

PRZEDMOWA (do drugiego wydania)	7
UWAGI WSTĘPNE	11
Rozdział I – DEFINICJE	15
Rozdział II – NIEPRZEKŁADALNOŚĆ (cz. I)	29
Rozdział III – NIEPRZEKŁADALNOŚĆ (cz. II)	61
Rozdział IV – KONKLUZJE	89
DODATEK: SPOSOBY PRZEMAWIANIA DO DRUGICH PO ANGIELSKU A PO POLSKU	97

Rozdział I

DEFINICJE

Punktem wyjścia do dalszych rozważań jest fakt, że właściwie nie mamy dokładnej definicji tłumaczenia w sensie zarówno pewnej operacji, jak i jej wyniku (w polskim termin „przekład” jest używany na ogół w znaczeniu wyniku czynności tłumaczenia, nie zaś samej czynności; w pracy niniejszej zwyczaj ten będzie przestrzegany). Definicje leksykalne, znajdujące się w rozmaitych słownikach, traktują tę sprawę bardzo powierzchownie. Dla przykładu kilka definicji z bardziej znanych słowników w różnych językach, przytoczonych w brzmieniu oryginalnym, gdyż byłoby metodologicznie niedopuszczalne, aby przy omawianiu definicji tłumaczenia posługiwać się tłumaczeniem, a więc w celu sformułowania definicji pewnej operacji posługiwać się także operacją. Dlatego też dodane w nawiasach przekłady polskie mają charakter wyłącznie orientacyjny dla czytelnika nie znającego danego języka obcego, nie są wiążące z punktu widzenia toku wywodów, i zaczepianie ewentualnej ich nieścisłości nie może podważać dalszych konkluzji. Z tego samego powodu ograniczamy się do bardziej znanych języków europejskich, nie podając np. definicji ze słowników chińskich, jakkolwiek język chiński będzie odgrywać znaczną rolę w przykładach przytaczanych później; podanie cytaty oryginalnej byłoby bezcelowe, a podanie samego tłumaczenia jest wykluczone z wyżej wspomnianych względów metodologicznych.

T ł u m a c z y ć – z jednego języka przekładać na drugi mowę czyją lub pismo.

Przełożyć, przekładać – ...3. = przetłumaczyć².

Перевод: 1. Действие по глаг. перевести_переводить... Текст (или устная речь), переведенный с какого_н. языка на другой язык (стр. 104).

Перевести: 6. Переложить с одного языка на другой, выразить что-н. (какой-н. текст, устную речь) средствами другого языка (стр. 103).

Переложить: 6. ... Перевести на другой язык (устар.). (стр. 153)³.

[Przełożyć z jednego języka na inny, wyrazić coś (jakiś tekst, wypowiedź ustną) za pomocą innego języka].

Podaliśmy tu orientacyjny przekład tylko części definicji. Zwraca uwagę fakt, że piereložit' i pierewiesti w podanych wyżej cytatach ze słownika Uszakowa określane są nawzajem jedno przez drugie.

Angielski:

Translate: 1. Express the sense of (word, sentence, book) in or into another language...⁴ [Tłumaczyć: wyrazić znaczenie (słowa, zdania, książki) w innym języku...].

Francuski:

Traduction... Action de traduire, de transposer dans une autre langue...⁵ [Tłumaczenie... czynność tłumaczenia, transponowania na inny język...].

Niemiecki:

Übersetzen, Übersetzung, Wiedergabe eines sprachgestalteten Sinngelalts mit den Ausdrucksmitteln einer anderen Sprache...⁶ [Tłumaczyć, tłumaczenie – oddanie za pomocą środków wyrazu jakiegoś innego języka treści znaczeniowej sformułowanej w jakimś języku].

Powyższe przykłady wykazują, że bardzo rozpowszechnione, jeśli nie panujące, jest jakieś intuicyjne pojmowanie pojęcia tłumaczenia,

² Słownik języka polskiego (tzw. Warszawski), t. VII, Warszawa 1919, s. 69, oraz t. V, Warszawa 1912, s. 128.

³ Толковый словарь русского языка, т. III, под ред. Б. М. Волина и проф. Д. Н. Ушакова.

⁴ The Concise Oxford Dictionary of Current English, 4th ed., Oxford 1950, s. 1357.

⁵ Larousse du XX-e siècle, Paris 1933, t. VI, sub Traduire.

⁶ Der Grosse Herder, Freiburg 1935, t. XI, sub übersetzen.

z czego wynika brak odczuwania potrzeby definicji. Stosunkowo najczęściej można się spotkać z próbami sformułowania pewnego rodzaju definicji drogą okólną, nie przez ustalenie, na czym polega czynność tłumaczenia, lecz przez określenie, jakim warunkom winien odpowiadać jej wynik. W tych wypadkach najczęściej wysuwany i najsilniej podkreślany wymaganiem jest „wierność”, z tym, że pojęcie to też pozostaje nie sprecyzowane. Z pojęciem „wierności” wiąże się często wiele twierdzeń o charakterze negatywnym, a mianowicie, że wierności nie można pogodzić z wymaganiami estetycznymi stawianymi przekładowi literackiemu itp. Jest zrozumiałe, że określone próby definiowania nie dają konkretnych wyników, które mogłyby stać się podstawą do dalszej dyskusji⁷.

⁷ Jedną z najlepszych, zdaniem autora, definicji tłumaczenia podał Alexander Fraser Tytler w swej pracy *On the Principles of Translation*, bardzo wcześnie, bo już w r. 1791: “I would therefore describe a good translation to be, *That, in which the merit of the original work is so completely transfused into another language, as to be as distinctly apprehended, and as strongly felt, by a native of the country to which that language belongs, as it is by those who speak the language of the original work.*”

Now, supposing this description to be a just one, which I think it is, let us examine what are the laws of translation which may be deduced from it.

It will follow,

I. That the Translation should give a complete transcript of the ideas of the original work.

II. That the style and manner of writing should be of the same character with that of the original.

III. That the Translation should have all the ease of original composition.” (s. 8-9 wg Everyman's Library Edition, London 1907).

A. В. Федоров, *Введение в теорию перевода*, Moskwa 1953, podaje na s. 114 poniższą definicję, niestety – niezbyt jasną:

Полноценность перевода состоит в передаче специфического для подлинника соотношения содержания и формы путем воспроизведения особенностей последней (если это возможно по языковым условиям) или создания функциональных соответствий этим особенностям. Это предполагает использование таких языковых средств, которые, часто и не совпадая по своему формальному характеру с элементами подлинника, но соответствуя норме языка перевода, выолняли бы аналогичную выразительную функцию в системе целого. Для понятия полноценности тем самым особенно существенной является передача такого соотношения, в котором часть, отдельный элемент или отрезок текста, находится к целому.

Полноценный перевод предполагает определенное равновесие между целым и отдельным и, в частности, между передачей общего характера произведения и степенью близости к оригиналу в передаче отдельного его отрезка: ведь те или иные изменения в нем неравноценны друг другу по своему весу в системе целого; короче говоря – одни важнее, чем другие, и степень приближения к оригиналу и отклонения от него в том или ином его месте неизбежно соотносится с ролью

Skoro jednak pamiętamy, jak wiele zamętu wywołało posługiwanie się pojęciami intuicyjnymi w logice i podstawach matematyki, a także i w innych dyscyplinach, jak fizyka, dobrze będzie ograniczyć do minimum intuicyjny charakter wprowadzanych i używanych pojęć.

Jakkolwiek w naukach humanistycznych trudno jest osiągnąć precyzję charakterystyczną dla nauk ścisłych, to jednak nie ma żadnego powodu, aby humanistyka nie miała korzystać w szerokim sensie z doświadczeń innych dyscyplin, odznaczających się bez porównania większą ścisłością, a ponadto – co równie ważne – operujących innymi metodami. Dlatego wydaje się właściwe wyjście od definicji tłumaczenia uściślonej ewentualnie dodatkowymi wyjaśnieniami; wyjaśnienia te okazują się niezbędne, gdyż ze względu na mało precyzyjny charakter pojęć, którymi operujemy w humanistyce, definicja może zawierać terminy z kolei wymagające zdefiniowania lub co najmniej wyjaśnienia.

Proponowana definicja:

Operacja tłumaczenia polega na sformułowaniu w pewnym języku odpowiednika wypowiedzenia sformułowanego uprzednio w innym języku.

Wyjaśnienia:

1. Nacisk położony jest na operację (czynność) tłumaczenia. Otrzymany wynik („odpowiednik sformułowany w pewnym języku”) odpowiada temu, co potocznie nazywa się także „tłumaczeniem” lub – częściej „przekładem”, w sensie rezultatu czynności (jest to więc pewnego rodzaju „tekst”).

2. Wielkość tekstu oryginalnego nie odgrywa zasadniczej roli. Może to być zarówno wielotomowe dzieło, jak i pojedyncze słowo. W wypadkach bardzo krótkich tekstów, zwłaszcza jednowyrazowych, należy pamiętać o tym, że ze względu na swoją krótkość tekst może być wieloznaczny i przez to nie dający się jednoznacznie przetłumaczyć.

этого места, может быть даже с большей или меньшей значимостью отдельного слова. Это значит, что полноценность может и не требовать одинаковой степени словесной близости к оригиналу на всем протяжении перевода.

Por. także: Л. Н. С о б о л е в, *Пособие по переводу с русского языка на французский*, Moskwa 1952, s. 13, gdzie znajduje się bardzo zwięzła definicja tłumaczenia, oraz J. P. P o s t g a t e, *Translation and Translations*, London 1922, *passim*.

Czasami jednak kontekst sytuacyjny umożliwia jednoznaczny przekład nawet i tekstu składającego się tylko z jednego słowa.

3. Cytowane powyżej definicje leksykalne nie zajmują się oczywiście pojęciem języka, również przyjmując je w jakimś sensie intuicyjnym. Dla naszych badań nie jest to wystarczające.

Przez język rozumieć będziemy system sygnałów używanych przez ludzi do porozumienia się w przestrzeni lub w czasie. W zasadzie moment czasu występuje zawsze, lecz dla celów praktycznych można go pominąć tam, gdzie upływ czasu pomiędzy nadaniem a odebraniem sygnału nie odgrywa istotnej roli (w bezpośredniej rozmowie, przy sygnalizacji świetlnej, w komunikacji telefonicznej czy radiowej itp.). W pewnych wypadkach, gdy chodzi o sygnały utrwalone, jak np. zapis szyfrowany, krąg nadawców i odbiorców może się ograniczać do jednej i tej samej osoby (szyfr na własne potrzeby jakiejś jednostki).

Sygnał rozumiemy tu bardzo szeroko, w sposób nieco odmienny od potocznego, jako materialną stronę wyrażenia (terminologia H. Greniewskiego), a więc tekst mówiony lub zapisany (niezależnie od jego długości), znak drogowy, sygnał dźwiękowy lub optyczny w węższym sensie, zapis szachowy, mapę itd.

Zasadniczą rolę odgrywa tu pojęcie przyporządkowania pewnych sygnałów pewnym stanom psychicznym (stanom systemu nerwowego) przez nadawcę oraz przyporządkowania pewnych stanów psychicznych pewnym sygnałom przez odbiorcę. Wydaje się, że pojęcie to należy traktować jako pierwotne w teorii języka – przynajmniej przy pewnych jej ujęciach.

Interpretowanie języka jako systemu sygnałów (lub znaków) nie jest obce również i językoznawcom⁸. Zależnie od okoliczności sygnał może pełnić funkcję czysto komunikatywną lub komunikatywno-ekspresywną (jeśli wyraża subiektywny stan nadawcy).

Dalszym ważnym krokiem jest rozróżnienie pomiędzy językami naturalnymi a sztucznymi. Języki naturalne wytworzyły się samorzutnie i ewolucyjnie, służą do obsługi ogólnych potrzeb porozumiewania się w obrębie grup etnicznych (narody, narodowości)

⁸ Por. uwagi o poglądach Jerzego Kuryłowicza w artykule Jana Safarewicza, „Nauka Polska”, nr 4/1956, s. 125-132.

i przynajmniej w początkowych okresach swego rozwoju wykazują ścisły związek z mową (chodzi tu o te języki graficzne, które z biegiem czasu z różnych przyczyn odrywały się od języków fonetycznych, jak chiński styl tzw. literacki, czyli wen-jen, łacina średniowieczna itp.). Języki sztuczne powstały przez przyjęcie mniej lub więcej jednorazowo, „za jednym zamachem”, określonych sygnałów, przy czym najczęściej języki te mają charakter specjalny i dotyczą dość wąskich dziedzin, tj. służą do opisywania dość wąskich dziedzin rzeczywistości (jak np. język symbolów matematycznych, język wzorów chemicznych, język znaków drogowych, język map różnego rodzaju itd.), a więc nie mogą zaspakając „ogólnych potrzeb porozumiewania się w obrębie grup etnicznych”. Pod tym ostatnim względem pewnym wyjątkiem są języki sztuczne usiłujące imitować uniwersalny charakter języków naturalnych (np. esperanto). Różnią się one od tych ostatnich głównie tym, że zostały stworzone w krótkim czasie przez jednego lub kilku twórców, podczas gdy języki naturalne powstawały w trybie długiego anonimowego rozwoju. Należy również dodać, że języki sztuczne odznaczają się z reguły dużo wyższym stopniem „skodyfikowania” niż języki naturalne, które jako systemy posiadają zwykle luki dopuszczające pewne drobne dowolności w posługiwaniu się sygnałami. Ponadto reguły obowiązujące w językach naturalnych powstają ex post, drogą kodyfikacji utartych lub ucierających się zwyczajów językowych, podczas gdy reguły obowiązujące w językach sztucznych stwarzane są od razu z samym językiem.

Z punktu widzenia teorii tłumaczenia istnieją cztery możliwe kombinacje tłumaczeń: z języka naturalnego na naturalny, z naturalnego na sztuczny, ze sztucznego na naturalny, i ze sztucznego na sztuczny. Tematem tej pracy będą wyłącznie tłumaczenia z języka naturalnego na naturalny. Jest to zgodne z intuicyjnym pojmowaniem problemu tłumaczenia, który jest zrozumiany w ten sposób także i w cytowanych definicjach leksykalnych, gdzie „język” niewątpliwie oznacza „język naturalny”. Przy tej kombinacji problemy są najtrudniej uchwytnie właśnie z powodu wspomnianego „luzu” w kodyfikacji (czy formalizacji) języków naturalnych, co z kolei uniemożliwia formalizację operacji tłumaczenia.

Co się tyczy pozostałych kombinacji, sprawa jest łatwiejsza do rozstrzygnięcia, z tym że należy badać poszczególne przypadki. Z reguły niemożliwe są tłumaczenia z języka naturalnego na sztuczny

specjalny (tj. nie typu esperanto), bo ten może opisać tylko ściśle określone aspekty rzeczywistości. Przełożenie choćby tak prostego zdania jak: „Wczoraj w Warszawie padał deszcz”, na język wzorów chemicznych nie jest oczywiście możliwe. Tłumaczenia z języka naturalnego na język sztuczny typu esperanto są częściowo możliwe (por. niżej pojęcie przekładalności częściowej), ale utrudnione ze względu na to, że słownictwo i idiomatyka języków sztucznych tego typu są zwykle znacznie uboższe od słownictwa języków naturalnych, rozszerzanie zaś słownictwa tych języków sztucznych (skądinąd sprzeczne z racją bytu takich języków) doprowadziłoby do powstania jakichś zawiłych przypadków granicznych, w których dany język sztuczny zacząłby przechodzić w język naturalny.

Tłumaczenia z języka sztucznego na język naturalny są w zasadzie możliwe, co nie znaczy, że są praktyczne: szczegółowy opis w języku naturalnym mapy Polski z atlasu szkolnego, uwzględniający wszystkie uwidocznione tam elementy geograficzne, a więc przebieg granic, przebieg rzek i linii komunikacyjnych, przebieg poziomic, położenie miejscowości, szczytów górskich, jezior, relacje przestrzenne (odległości, kierunki według stron świata) pomiędzy poszczególnymi punktami itd. wypełniłby zapewne spory tom – nie dając przy tym czytelnikowi żadnego obrazu. Tłumaczenia z języka sztucznego na sztuczny zależą od tego, czy języki te opisują te same czy też różne aspekty rzeczywistości. W pierwszym przypadku możemy mieć do czynienia z całkowitą przekładalnością (np. tłumaczenia arytmetycznej notacji dziesiętnej na dwójkową i na odwrót, tłumaczenia jednego systemu symboliki logicznej na inny i na odwrót), w drugim zaś – z całkowitą nieprzekładalnością (np. tłumaczenie języka wzorów chemicznych na język notacji szachowej i na odwrót).

Dalsza uwaga dotyczy istnienia języków mieszanych. Są to języki naturalne posługujące się w pewnej mierze językami sztucznymi. Pierwsza odmiana to języki, w jakich pisze się wiele prac naukowych, gdzie wśród tekstu w języku naturalnym, np. polskim, znajdują się partie w języku sztucznym, np. języku notacji matematycznej, języku wzorów chemicznych, języku sztucznie stworzonej terminologii lekarskiej, terminologii botanicznej czy zoologicznej (np. typu opartego na systemie Linneusza) itp.

Druga odmiana obejmuje te przypadki, gdzie tekst sformułowany pierwotnie w języku naturalnym, np. polskim, jest przekazywany

lub utrwalany w języku sztucznym, np. Morse'a (w formie sygnałów świetlnych, dźwiękowych lub telegraficznych) czy też Braille'a.

W pierwszej odmianie sprawa jest prosta, bo można łatwo podzielić cały tekst na części w języku naturalnym i w języku (lub językach, jeśli np. w pracy lekarskiej mamy do czynienia zarówno z terminologią medyczną, jak i wzorami chemicznymi) sztucznym. W drugiej odmianie sprawa jest trochę zawikłana, wydaje się jednak, że wobec pierwotnego sformułowania tekstu w języku naturalnym należy uznać prymat tego języka i przyjąć, że język sztuczny pełni tu rolę tylko pomocniczą, tym bardziej że całość daje się łatwo z powrotem przetransponować na ten język naturalny, w jakim tekst był sformułowany początkowo. (Jest to pewne uproszczenie. Przy bardziej szczegółowej analizie można, i bodaj należy, przyjąć, że np. czytanie na głos po polsku tekstu napisanego w tymże języku jest tłumaczeniem z języka polskiego graficznego na język polski fonetyczny. Bardziej skomplikowane przypadki to np. śpiewanie według tekstu słownego, zaopatrzonego jednocześnie w zapis nutowy, lub czytanie na głos po polsku tekstu w języku angielskim itd. W tym ostatnim przypadku mamy do czynienia jednocześnie z tłumaczeniem w jego rozumieniu potocznym oraz ze swoistą transpozycją języka graficznego na fonetyczny, wykraczającą poza granice niniejszego studium)⁹.

W sumie języki mieszane można pominąć przy analizie, gdyż każdy język mieszany da się sprowadzić do elementów zaczerpniętych z języków naturalnych i sztucznych.

(Do języków mieszanych trzeba również zaliczyć języki tekstów makaronicznych, a więc tekstów złożonych z elementów różnych języków naturalnych.)

4. Podana wyżej definicja wydaje się być w zasadzie zgodna z intuicyjnym pojęciem tłumaczenia rozumianym dość powierzchownie. Wydaje się również, że interpretacja intuicyjna zaczyna zawodzić, gdy w dążeniu do uściślenia naszej definicji zajmujemy się sprecyzowaniem pojęcia „odpowiednik”. W jakim wypadku należy uznać tekst *b* (fonetyczny lub graficzny) w języku *B* za odpowiednik tekstu *a* w języku *A*? Odpowiedź na to pytanie wymaga wprowadzenia dodatkowej, pomocniczej definicji, która z kolei wymagać będzie pewnych wyjaśnień:

⁹ Zagadnienia te będą zapewne jednym z tematów oddzielnej pracy.

a. Tekst *b* w języku *B* jest odpowiednikiem tekstu *a* w języku *A*, jeżeli tekst *b* wywołuje taką samą reakcję (zespół skojarzeń) u odbiorcy, co tekst *a*.

b. Nie jest istotne, czy odbiorcą jest ta sama osoba (znająca oba języki), czy też różne osoby.

c. Najwięcej zastrzeżeń i wątpliwości budzi sformułowanie „taką samą reakcję (zespół skojarzeń)”. Można wysunąć zarzut, że nawet jeden i ten sam tekst (w jednym i tym samym języku) wywołuje różne reakcje u różnych osób, i powołać się na przykłady różnych interpretacji utworów literackich przez różne osoby (dobrze znane „różne” lub „nowe” tzw. odczytania tekstów przez krytyków, reżyserów, aktorów) nawet w tych wypadkach, w których tekst nie zawiera miejsc spornych z filologicznego punktu widzenia. Można posunąć się jeszcze dalej i powołać się na równie dobrze znane wypadki, kiedy jeden i ten sam tekst (np. utwór literacki, list prywatny nie posiadający walorów literackich itd.) u tej samej osoby wywołuje różne reakcje w różnych momentach, np. raz czytany czy słyszany w młodości, a drugi raz w wieku dojrzałym czy podeszłym, i twierdzić, że każdy zespół skojarzeń powstających u odbiorcy pod wpływem danego tekstu jest zjawiskiem niepowtarzalnym i że podana wyżej definicja pomocnicza jest bezwartościowa.

Można by się tu powołać dodatkowo na niektóre nowe sformułowania z dziedziny logiki i cybernetyki, a mianowicie na koncepcję układów względnie izolowanych¹⁰. Według tej koncepcji za układ względnie izolowany uznajemy system nerwowy danego człowieka, przy czym wejściami układu są receptory systemu nerwowego, a wyjściem układu jest mózg (ewentualnie pewne jego ośrodki; badania nad funkcjonowaniem mózgu mogą wprowadzić tu rozmaite poprawki – nieistotne z punktu widzenia schematu układu względnie izolowanego). W rozważaniach pomijamy natomiast efekторы, gdyż interesuje nas reakcja tzw. psychiczna, to jest pewien stan centralnych ośrodków nerwowych, nie zaś ewentualne dalsze konsekwencje, jakimi mogą być gesty, reakcje słowne, zmiany w krążeniu itp. Zetknięcie się z jakimś tekstem to powstanie na niektórych wejściach stanów wyróżnionych. W wypadku tekstu fonetycznego stany wyróżnione powstają na tych wejściach, które są receptorami słuchowymi; analogicz-

¹⁰ Por.: H. Greniewski, *Elementy logiki indukcji*, Warszawa 1955.

nie, w przypadku tekstu graficznego wchodzi w grę receptory wzrokowe, w przypadku tekstu trójwymiarowego (np. tekst pisany alfabetem Braille'a) – receptory dotykowe. Każdy stan na wyjściu jest jednoznacznie wyznaczony przez wszystkie obecne i przeszłe stany na wejściach, także i tych, które pozornie mogą nie wiązać się z danym czy nawet żadnym tekstem: nie ma w praktyce systemów sygnałów opartych na zmyśle smaku, a więc nie ma i tekstów działających za pośrednictwem receptorów smakowych, nie znaczy to jednak, że określone doświadczenia smakowe (czyli dawniejsze stany wyróżnione na niektórych wejściach-receptorach smakowych) nie odgrywają roli przy redagowaniu na przynajmniej niektóre teksty.

Na tle powyższego widać łatwo, że nie mogą istnieć dwa ludzkie systemy nerwowe, czyli prościej, nie mogą istnieć dwaj ludzie, u których wszystkie przeszłe i obecne stany na wejściach były identyczne, choćby dlatego, że oba te systemy nerwowe musiałyby się znajdować dokładnie w tym samym fragmencie przestrzeni. Stąd też wynika, że nie może być mowy o takich samych *sensu stricto* reakcjach dwóch różnych ludzi na ten sam tekst, nawet w tym samym języku¹¹.

Odwoływanie się do koncepcji cybernetycznych nie jest tu zapewne niezbędne, lecz jest o tyle interesujące, że stanowi przykład jeszcze jednej tzw. interpretacji merytorycznej (semantycznej) pojęcia układów względnie izolowanych, a więc świadczy o płodności tego pojęcia.

Z drugiej jednak strony stoimy wobec niezbitego faktu, że języki spełniają swą funkcję komunikatywną, i że wobec tego nie da się zaprzeczyć, iż reakcje wywołane przez dany tekst u różnych osób mogą być jeśli nie identyczne, to przynajmniej bardzo podobne. Stopień podobieństwa jest niewątpliwie większy w wypadku prozy naukowej niż w wypadku poezji, ale w każdym razie bardzo znaczny. Możemy więc zachować definicję pomocniczą w mocy, najwyżej z dodatkowym wyjaśnieniem, że zawartego w niej wyrażenia „takie same” nie należy rozumieć jako określenia identyczności *sensu stricto*, lecz interpretować jako umowne oznaczenie bardzo dużego stopnia podobieństwa.

Podobnie rzecz się ma w wypadku tłumaczeń, a więc w wypadku podobieństwa pomiędzy reakcjami wywołanymi z jednej strony przez oryginał, a z drugiej strony przez przekład. Mimo wszelkich ewentu-

¹¹ Por. także: S. Bogusławski, H. Greniewski, J. Szapiro, *Dialogi o cybernetyce*, „Myśl Filozoficzna”, 1954, nr 4.

alnych zastrzeżeń nie da się zaprzeczyć, że ludzie na olbrzymią skalę posługują się operacją tłumaczenia w celu niejako rozszerzenia funkcji komunikatywnej takiego czy innego języka.

Trzeba tu jednak uczynić dość istotne zastrzeżenie: pomijamy mianowicie przypadki reakcji (skorzeń) czysto indywidualnych. Nie bierzemy więc pod uwagę np. osobnika, u którego francuskie *genou* (ale nie polskie *kolano*, angielskie *knee* itd.) kojarzy się w formie natręctwa z nogami jego bony Francuzki, ani też osobnika, u którego np. widok róży lub jej reprodukcji graficznej oraz słowo *róża*, przeczytane lub usłyszane w jakimkolwiek znanym mu języku, kojarzy się ze wspomnieniem jedzenia na werandzie rosółu z makaronem. (Przykład pierwszy wiąże się silniej ze sprawami językowymi, bo reakcja następuje tylko na słowo, a więc element języka. Ponadto u osobnika takiego odmienne reakcje występować będą przy zetknięciu się z tekstem francuskim, w przeciwstawieniu do tekstów w innych językach, a więc, w obchodzącej nas dziedzinie będzie on inaczej reagował np. na oryginał francuski niż na jego polski przekład, ale tak samo na oryginał np. angielski i jego przekład polski. W przykładzie drugim natrętne skojarzenie wystąpi niezależnie od języka, a nawet jako reakcja na doznania pozajęzykowe, np. przy oglądaniu ilustracji, obrazów, filmu itp.).

Abstrahowanie od reakcji czysto indywidualnych, które przecież każdy człowiek posiada w stopniu choćby minimalnym (co wynika z tego, że nie ma dwóch ludzi, którzy reagowaliby w sposób całkowicie identyczny), prowadzi do przyjęcia koncepcji pewnego typu reakcji grupowej, to jest typu reakcji wspólnego członkom pewnej grupy. Teoretycznie jest to uproszczenie (jeśli kto woli – fikcja), ale uproszczenie zgodne z zaobserwowanymi faktami, świadczącymi o tym, że języki spełniają jednak, gorzej czy lepiej, swoją funkcję komunikatywną. Ponieważ tematem naszych zainteresowań jest tłumaczenie, przyjmujemy przede wszystkim typy reakcji grupowych, właściwych poszczególnym grupom językowym. Trzeba się jednak liczyć z koniecznością uwzględniania w obrębie grup językowych grup opartych na innych kryteriach, na przykład stopnia wykształcenia. W niektórych przypadkach (np. przy tekstach naukowych) wspólność typu reakcji związanych z przynależnością np. do tej samej grupy zawodowej a różnych grup językowych może się okazać ważniejsza od wspólności typu reakcji związanego z przynależnością do tej samej grupy językowej, a różnych grup zawodowych. W ten sposób dochodzimy do pewnych przeciętnych typów reakcji właściwych poszczególnym

grupom społecznym, przez co osiągamy możliwość większej obiektywizacji tych reakcji; ich charakter obiektywny lub intersubiektywny jest przecież warunkiem możliwości porozumiewania się między ludźmi.

Dla ilustracji dwa przykłady różnej reakcji wynikającej z przynależności do różnych grup językowych.

Pani Zofia Szleyenowa¹² przekładając raz wiersz N. Guillena o Kubie, rodzinnej wyspie poety, zorientowała się w pewnym momencie, że zawarte w tym wierszu zwroty na temat Boga wywołują u polskiego czytelnika przekładu nieoczekiwane humorystyczne skojarzenia związane ze znanym polskim powiedzeniem „jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie”. Skojarzenia takie najprawdopodobniej nie powstają przy tłumaczeniu tego wiersza na jakikolwiek inny język, ale w przekładzie polskim narzucały się tak gwałtownie i tak całkowicie wbrew ogólnemu nastrojowi utworu, że trzeba było „Kubę” zastąpić przez „wyspę”.

Przy tłumaczeniu na język eskimoski najpospolitszej bodaj modlitwy chrześcijańskiej, jaką jest tzw. *Ojcze nasz*, zaszła potrzeba zastąpienia zwrotu „chleba naszego powszedniego” przez zwrot, który po eskimosku znaczy „ryby naszej powszedniej”, bo język eskimoski nie posiada żadnego terminu na „chleb”, a „chleb” w omawianej modlitwie oznacza nie środek spożywczy wyrabiany z mąki w określony sposób, lecz najpospolitszy i podstawowy rodzaj pożywienia. Dla Eskimosów takim najpospolitszym i podstawowym rodzajem pożywienia jest właśnie ryba¹³.

Przedstawiona tu cecha słownictwa eskimoskiego ma oczywiście swe źródło w sprawach pozajęzykowych, o czym będzie mowa dalej, a co skądinąd nie zmienia faktu, że we wspomnianym tu zakresie reakcja grupowa, wynikająca z przynależności do grupy językowej eskimoskiej, jest odmienna niż reakcja grupowa, wynikająca z przynależności np. do grupy językowej polskiej.

5. Dalsza uwaga do definicji zasadniczej: przekład (odpowiednik) jest w czasie zjawiskiem późniejszym w stosunku do oryginału. Uwaga ta jest banalna, lecz ma na celu uniknięcie nieporozumień, które mogłyby powstać w związku z tzw. tłumaczeniem jednoczesnym (tłu-

¹² Przykład podany na zebraniu Sekcji Przekładu Oddziału Warszawskiego Związku Literatów Polskich.

¹³ Cytowane z pamięci, na podstawie informacji prasowej sprzed 1939 r. Informacje ustne otrzymane w r. 1954 od p. Ewy Szelburg-Zarembiny na temat przekładów modlitw katolickich na eskimoski bardzo potwierdzają podany tu przykład.

maczeniem dokonywanym z reguły *viva voce*, na kongresach itp.). I tu, wbrew nazwie, przekład jest w czasie późniejszy od oryginału, choć okres dzielący powstanie oryginału od przekładu może być bardzo krótki¹⁴.

6. W związku z definicją zasadniczą oraz uwagą poprzednią należy wyjaśnić, jaki stosunek zachodzi pomiędzy językiem oryginału a językiem przekładu, a w szczególności – czy stosunek ten polega na równorzędności obu języków, czy też na nadrzędności jednego z nich wobec drugiego. W tej sprawie również można się spotkać z różnymi i różbieżnymi poglądami. Mówi się, że język oryginału jest w jakimś sensie nadrzędny wobec języka przekładu, gdyż oryginał zawiera sformułowanie pierwotne, a przekład wtórne. Z drugiej strony mówi się także, iż dominuje język przekładu, gdyż sformułowania przekładu muszą pozostać w zgodzie z wymaganiami języka przekładu niezależnie od sposobu sformułowania zawartego w oryginale.

Wydaje się, że trzeba tu odróżnić dwie sprawy: stosunek pomiędzy oryginałem a przekładem i stosunek pomiędzy językiem oryginału a językiem przekładu. Zgodnie z definicją zasadniczą, według której przekład jest odpowiednikiem oryginału, oryginał i przekład są równorzędne. Gdyby jednak okazało się, że z jakichś przyczyn – o których będzie mowa niżej – przekład w danym wypadku nie może być pełnym odpowiednikiem oryginału, należałoby uznać nadrzędność oryginału nad przekładem.

To ostatnie przypuszczenie znajduje często potwierdzenie w praktyce: jeżeli chodzi o literaturę piękną, z reguły uznaje się wyższość oryginału nad przekładem zalecając w miarę możliwości lekturę oryginałów; w wypadku dokumentów dyplomatycznych, sporządzonych w kilku wersjach językowych, często przyjmuje się, że w razie wątpliwości co do interpretacji, tekst sporządzony w pewnym określonym języku będzie uważany za obowiązujący. Doświadczenie uczy nas więc, iż tłumaczenie często nie jest odpowiednikiem oryginału. Należy tu jednak odróżnić dwa momenty: 1) wniosek z doświadczenia, że w

¹⁴ Przy „jednoczesnym” tłumaczeniu dłuższego tekstu improwizowanego początek przekładu (jako całości) może powstać wcześniej niż koniec oryginału (jako całości), ale jeśli przyporządkować sobie odpowiednie partie oryginału i przekładu, to wcześniejsze powstanie każdej partii oryginału w stosunku do każdej odpowiedniej partii przekładu nie budzi wątpliwości.

praktyce przekład może nie odpowiadać oryginałowi, co może mieć swoje źródło w okolicznościach ubocznych, takich jak nieudolność tłumacza lub brak warunków (np. dostatecznej ilości czasu) do sporządzenia właściwego przekładu, 2) ewentualną niemożliwość, wynikającą z obiektywnych przyczyn zasadniczych, sformułowania w języku *B* tekstu *b*, który by był odpowiednikiem tekstu *a*, uprzednio sformułowanego w języku *A*.

Zagadnienie takiej niemożliwości będzie rozpatrywane później. Na razie można uciec się do nieco „matematycznego” wyrażenia stosunku pomiędzy przekładem a oryginałem: przekład \leq oryginał, co oznacza, że przekład może, ale nie musi dorównywać oryginałowi (być jego odpowiednikiem).

Jeśli natomiast chodzi o stosunek pomiędzy językiem oryginału a językiem przekładu, to przy naszych założeniach oba te języki są równorzędne. W szczególności pomiędzy językiem przekładu a językiem oryginału nie zachodzi stosunek taki jak pomiędzy metajęzykiem a językiem, gdyż metajęzyk jest językiem, w którym mówimy o jakimś innym języku, natomiast przekład nie jest opisem innego języka, lecz odpowiednikiem sformułowania istniejącego w innym języku; dlatego też języka przekładu nie można uważać za metajęzyk (w stosunku do języka oryginału).

Doszliśmy więc do następującego wyniku:

Operacja tłumaczenia tekstu *a* sformułowanego w języku *A* na język *B* polega na sformułowaniu tekstu *b* w języku *B*, który to tekst *b* wywoływałby u jego odbiorców skojarzenia takie same lub bardzo zbliżone do tych, które u odbiorców wywoływał tekst *a*.

Rozdział II

NIEPRZEKŁADALNOŚĆ

(Część pierwsza)

Otrzymana w poprzednim rozdziale definicja, wraz z niezbędnymi komentarzami do niej, mimo wszelkich odwoływań się do doświadczenia, czynionych przy jej ustalaniu i interpretowaniu, nosi jednak charakter dość teoretyczny.

Znane z praktyki trudności przy dokonywaniu przekładów zmuszają do zastanowienia się, czy zawsze możliwe jest osiągnięcie takiego idealnego stanu, jaki określa podana definicja. Innymi słowy – musimy zastanowić się nad sprawą ewentualnej nieprzekładalności (nieprzetłumaczalności).

Aby uniknąć nieporozumień, trzeba powtórzyć raz już uczynione wyjaśnienie: nie chodzi tu o nieprzekładalność jako zasadę, jako w ogóle niemożność tłumaczenia – a więc sformułowania w pewnym języku odpowiednika tekstu sformułowanego uprzednio w innym języku – gdyż z praktyki wiemy, że w zasadzie operacja tłumaczenia jest wykonywalna. Nieprzekładalność może dotyczyć jedynie pewnych wypadków szczególnych, może nawet bardzo licznych, ale dających się interpretować jako wyjątki od ogólnej zasady przekładalności z jednego języka na drugi.

Opierając się na doświadczeniu, można również na razie – przed dokładnym rozpatrzeniem tej sprawy – przypuścić, że nie należy ujmować zagadnienia jako zdecydowanego przeciwstawiania pełnej przekładalności całkowitej nieprzetłumaczalności, że raczej będziemy mieli

do czynienia z jakąś gradacją, z pewnymi stopniami nieprzetłumaczalności (nieprzekładalności).

Ponadto trzeba się także zastanowić, jakie są przyczyny nieprzekładalności i czy dadzą się one jakoś sklasyfikować.

Wobec założenia, że będziemy rozpatrywać sytuację, w jakiej znajduje się tłumacz doskonały, problem obiektywnych granic operacji tłumaczenia – czyli problem nieprzekładalności – pozostaje głównym, najistotniejszym zagadnieniem teorii tłumaczenia. Do problemu tego należy również zaliczyć ewentualne przypadki, znane z doświadczenia, przestrzeni dzielącej pełną przekładalność od pełnej nieprzekładalności oraz rozwiązania, jakie można w tej dziedzinie stosować. Tam natomiast, gdzie pełna przekładalność jest możliwa, technika tłumaczenia sprowadza się do repertuaru środków stojących do dyspozycji tłumacza doskonałego i w naszym rozumieniu nie należy do teorii tłumaczenia.

Wydaje się wskazane zwrócić raz jeszcze uwagę na fakt, że jakkolwiek zamierzeniem niniejszej pracy jest osiągnięcie większej niż dotychczas precyzji w formułowaniu teoretycznych stron problemu tłumaczenia, to nie może być mowy o budowaniu jakiegoś autonomicznego systemu dedukcyjnego i automatycznym wysnuwaniu wniosków z raz przyjętych założeń. Sformułowana definicja wskazywać będzie jedynie kierunek dalszym badaniom, w których korzystać będziemy z ogólnych doświadczeń i praktyki. Z drugiej strony – nie znaczy to jednak, że wszystkie intuicyjnie uznawane poglądy mają się ostać krytyce, gdyż może się okazać, że właśnie szerokie wykorzystanie doświadczenia w połączeniu z pewnym uściśleniem, które jest naszym celem, doprowadzi do odrzucenia, jako nieuzasadnionych, niektórych poglądów dotychczas milcząco przyjmowanych.

Rozpatrując uzyskaną ostateczną definicję tłumaczenia w świetle doświadczeń znanych z praktyki nie trudno dojść do wniosku, że w wielu wypadkach nie da się w języku *B* sformułować tekstu *b*, który by u odbiorców wywoływał takie same (lub bardzo podobne) skojarzenia, jak tekst *a* w języku *A*.

Dalsze zastanowienie się wykaże, iż przeszkody te mogą być dwóch rodzajów:

1. język, na jaki zamierzamy dokonać przekładu, nie rozporządza środkami strukturalnymi, istniejącymi w języku oryginału;
2. w języku, na jaki zamierzamy dokonać przekładu, nie można oddać pewnych pojęć dających się wyrazić w języku oryginału.

W niektórych przypadkach granica między tymi dwoma kategoriami trudności może się zacierać, ale na ogół te dwie grupy dają się dość łatwo wyodrębnić.

Zajmiemy się najpierw trudnościami wynikającymi z różnicy środków strukturalnych pomiędzy językiem oryginału a językiem, na który przekładamy.

W pierwszej chwili może się narzucać sugestia, że cechy strukturalne poszczególnych języków, istotne i ciekawe z punktu widzenia językoznawstwa porównawczego, nie odgrywają roli w naszych badaniach, gdyż dotyczą jedynie strony formalnej przekazywania informacji, nie wpływają zaś na treść informacji. Pogląd taki, choć w odniesieniu do nieco innych zagadnień, wyraził H. Greniewski twierdząc, że np. prawidłowa odmiana gramatyczna jest operacją formalną, a więc nie wpływa na stronę znaczeniową danego wyrażenia lub zespołu wyrażen¹⁵. Jeśliby przyjąć to założenie, wówczas dobrane w języku przekładu właściwej formy gramatycznej, odpowiadającej formie użytej w języku oryginału, byłoby również operacją formalną, a strukturalne cechy języka można by nazwać po prostu cechami formalnymi, przeciwstawiając je treści informacji jako stronie merytorycznej.

Okazuje się jednak, że sprawa wygląda inaczej, że cechy strukturalne języków mają, przynajmniej w niektórych przypadkach, wpływ na treść informacji zawartej w danym tekście. Skoro tak jest, to np. prawidłowej odmiany gramatycznej, a w tłumaczeniu – doboru prawidłowych form odpowiadających formom użytym w oryginale, nie można uznać za operacje formalne (w sensie używanym przez H. Greniewskiego, a skądinąd mający praktyczną przydatność np. przy programowaniu maszyn do tłumaczenia).

Na dowód posłużymy się przykładem może nieco sztucznym (wymyślonym przez autora), lecz całkowicie prawdopodobnym i dobrze ilustrującym omawianą tutaj tezę. Założmy, że istnieje opowiadanie o tytule, który nie mówi nic konkretnego o bohaterach (np. *Spotkanie*); że opowiadanie to istnieje w dwóch wersjach, polskiej i angielskiej, przy czym jest w tym wypadku sprawą obojętną, która wersja jest oryginałem, a która przekładem; że pierwsze zdanie w wersji polskiej brzmi *Astrid odezwała się pierwsza*, w wersji angielskiej zaś *Astrid spoke first*; że do czytania wersji polskiej przystępuje Polak, a do czytania

¹⁵ Por.: H. Greniewski, *Elementy logiki formalnej*, Warszawa 1955, s. 118.

angielskiej – Anglik (nie musi to się odbywać równocześnie); że żaden z nich nie wie, iż „Astrid” jest używanym w krajach skandynawskich imieniem kobiecym.

Otóż w takiej sytuacji obaj czytający po pierwszym zdaniu zorientują się, że „Astrid” jest określeniem istoty ludzkiej, ponieważ Astrid mówi, a mowa jest cechą ludzi (obiekcja, że mogłoby chodzić o utwór fantastyczny, przyznający zdolność mówienia np. zwierzętom lub istotom zmyślonym, nie podważa w sposób istotny tego wyводу). Dotychczas obaj czytający są w sytuacji analogicznej, ale tu pojawia się różnica na korzyść Polaka, który na podstawie formy gramatycznej *odezwała się* otrzymuje dodatkową informację, że chodzi o kobietę (lub zwierzę czy istotę fantastyczną, któremu czy której przypisywane są w utworze jakieś cechy kobiece). Anglik natomiast informacji takiej nie otrzymuje, gdyż *spoke* nie mówi nic o rodzaju podmiotu.

Widzimy z tego przykładu, że operacja na pozór czysto formalna, polegająca na dobraniu w przekładzie formy gramatycznej będącej odpowiednikiem formy użytej w oryginale (tj. dobranie *spoke* jako odpowiednika *odezwała się* lub na odwrót, w zależności od tego, w którym języku był sporządzony oryginał), stała się źródłem wzbogacenia lub zredukowania ilości informacji zawartej w tekście (zależnie od tego, czy przekładu dokonywano na polski czy na angielski). Tak więc trzeba uznać, że strukturalne cechy języków przynajmniej w niektórych przypadkach wpływają na rozumienie tekstu w sposób najzupełniej wyraźny (nie mówiąc już o innych efektach, trudniejszych do uchwycenia od strony ściśle znaczeniowej, o czym będzie mowa niżej) i dlatego nie można określić ich jako cechy wyłącznie formalne¹⁶.

Skoro naszym celem jest ustalenie pewnych wskazówek postępowania przy tłumaczeniu w tych wypadkach, gdy język oryginału i język, na który przekładamy, różnią się od siebie środkami strukturalnymi, musimy się zająć pewnymi kategoriami trudności, które tłumacz może mieć do pokonania. Kategorie te muszą być na tyle ogólne, aby zachowały walor zasad teoretycznych, lecz i na tyle szczegółowe, aby posiadały przydatność w praktyce.

Można by przyjąć następujący podział, który wydaje się dość naturalny:

¹⁶ Przykład zaczerpnięty z prywatnej dyskusji z H. Greniewskim.

a. przekłady z języków bogatszych w środki strukturalne na języki uboższe w środki strukturalne,

b. przekłady z języków uboższych w środki strukturalne na języki bogatsze w środki strukturalne,

c. przypadki, gdy język oryginału i język przyszłego przekładu dysponują odmiennymi środkami strukturalnymi, przy czym trudno jest ustalić, który z dwóch języków rozporządza środkami bogatszymi.

Nie chodzi tu o proste odrębności gramatyczne lub stylistyczne, polegające np. na tym, że niektóre rzeczowniki w jednym języku trzeba oddawać w innym języku przez zwroty czasownikowe¹⁷. Skoro w obu tych językach istnieją formalnie wyodrębnione części mowy, a wśród nich rzeczowniki i czasowniki, to nie można mówić w tym wypadku o większym bogactwie środków formalnych jednego z tych języków. Różnica sprowadza się do czysto technicznych problemów tłumaczenia, związanych z właściwościami poszczególnych języków, i wchodzi w zakres prac o charakterze monograficznym.

Okazuje się jednak, że można wyjść z innego założenia:

Za język uboższy w środki strukturalne będziemy uważać taki język *B*, w którym nie istnieje pewien środek strukturalny *x*, istniejący w języku *A*.

Należy zauważyć, że właściwie dwa dowolne języki są w danym momencie zawsze rozpatrywane z punktu widzenia jednego wybranego środka strukturalnego języka oryginału, i wówczas język przekładu może być albo równie bogaty, jak język oryginału, albo uboższy, lecz nie bogatszy.

Wyrażenie „język bogatszy w środki strukturalne” jest nieściśle, ale stylistycznie zręczniejszym ekwiwalentem wyrażenia „język *A*, posiadający wśród swoich środków strukturalnych środek *x*, nie istniejący w języku *B*”. W związku z tym trzeba pamiętać, że nie można mówić, że jeden język jest z jakiegoś absolutnego punktu widzenia bogatszy w środki strukturalne od drugiego. Co więcej, zależnie od punktu widzenia, ten sam język może być raz bogatszy a raz uboższy w środki strukturalne w porównaniu z innym językiem. Jeżeli na przykład mówimy o możliwościach, jakie daje system graficzny języka polskiego, oparty na zasadzie alfabetu głoskowego, w porównaniu z językiem chińskim, którego system graficzny opiera się na ideogramach, to

¹⁷ Por.: L. N. S o b o l e w, *op. cit.*, s. 121.

powiemy, że język polski (*A*) jest bogatszy od chińskiego (*B*) o ośrodek strukturalny (*x*), jakim jest pismo alfabetyczne. Jeżeli, na odwrót, omawiamy możliwości, jakie daje pismo ideograficzne w porównaniu z pismem alfabetycznym, powiemy, że język chiński (*B*) jest bogatszy od polskiego (*A*) o ośrodek strukturalny (*y*), jakim jest pismo ideograficzne.

To drugie założenie może się wydać trochę sztuczne, ale jest ściślejsze z teoretycznego punktu widzenia, zawsze bowiem w wypadku różnic w środkach strukturalnych pomiędzy językiem oryginału a językiem przekładu jesteśmy w takiej sytuacji, że odczuwamy brak w języku przekładu pewnego środka strukturalnego właściwego językowi oryginału. Nawet przy tłumaczeniu z polskiego na angielski istnienie w angielskim rodzajników, których brak w polskim, oznacza w praktyce wprowadzanie pewnej precyzji – czasem niepożądaną (patrz niżej) – tam, gdzie w oryginale tej precyzji nie ma. Innymi słowy odczuwamy w języku przekładu brak tej ogólnikowości, jaką w polskim daje brak rodzajników.

Możliwe, że w wypadku drugiego założenia z pewnością byłoby mówić o cechach strukturalnych a nie o środkach strukturalnych, ale ta różnica terminologiczna nie odgrywa istotnej roli.

Narzuca się przypuszczenie, że jeśli tłumaczymy z języka bogatszego w środki strukturalne, to otrzymujemy przekład mniej precyzyjny od oryginału, przy czym różnica zależy od tego, w jakim stopniu ścisłość sformułowań oryginału zależy od środków strukturalnych. Powstaje też pytanie, czy w poszczególnych przypadkach różnicy tej nie można zmniejszyć – choć nie usunąć całkowicie – przez użycie jakichś innych środków strukturalnych, istniejących w języku, na który przekładamy.

Jako ilustrację rozpatrzmy pewną ilość problemów, dzieląc je na trzy zasadnicze grupy: a. środki (cechy) strukturalne należące do systemu gramatycznego (rozumianego tutaj jako morfologia, składnia i słowotwórstwo); b. środki (cechy) strukturalne należące do systemu fonetycznego; c. środki (cechy) strukturalne należące do systemu graficznego. Poniższe przykłady nie mogą wyczerpać wszystkich możliwych różnic w dziedzinie gramatycznych środków strukturalnych i ograniczają się od kilku zagadnień z języków bardziej rozpowszechnionych i o bogatszej tradycji piśmienniczej.

* * *

Silniej rozwinięta morfologia, taka jak w łacinie czy w polskim, a zwłaszcza istnienie rodzaju gramatycznego oraz odmiennych zaimków względnych i imiesłowów, pozwala na budowanie długich i bardzo rozwiniętych okresów, o strukturze jakby piramidalnej – ze zdaniem głównym jako punktem centralnym i ściśle ustaloną hierarchią zdań podrzędnych. Wyżej wyliczone cechy strukturalne, stanowiące część bogactwa morfologicznego tych języków, umożliwiają tego rodzaju konstrukcje, gdyż ułatwiają ścisłe wskazanie, jakie słowa czytelnik czy słuchacz ma ze sobą łączyć.

W języku o morfologii ubogiej, jak np. angielski, gdzie brak jest rodzaju gramatycznego, a zaimki względne i imiesłowy są (z nielicznymi wyjątkami, dotyczącymi zaimków) nieodmienne, konstrukcje takie są albo niemożliwe – gdyż długi i zawiły okres staje się niezrozumiały, bo po pewnym czasie nie można się już zorientować, co do czego się odnosi – albo bardzo ciężkie, ponieważ wymagają powtórzeń pewnych słów lub wstawiania pewnych zwrotów dla uniknięcia niejasności. W takim jednak wypadku trudno mówić o tym, że przekład jest odpowiednikiem oryginału, gdyż zamiast konstrukcji może skomplikowanej, ale w zasadzie jasnej a w każdym razie logicznej i zwartej otrzymujemy twór ciężki, niełatwy do zrozumienia, a przede wszystkim pozbawiony tej właśnie logiki i zwartości, jaka cechowała oryginał.

Jeżeli przekładamy taki okres na język chiński, zwłaszcza klasyczny, gdzie – z jednym wyjątkiem – nie ma zaimków względnych i gdzie zaimki te trzeba z reguły zastępować specjalnymi konstrukcjami opartymi na szyku wyrazów, budowanie takich okresów staje się niemal całkowicie niemożliwe, zwłaszcza jeżeli oryginał przy całej swej złożoności odznaczał się przejrzystością i dobrym stylem i jeżeli wobec tego przekład również winien odznaczać się przejrzystością i dobrym stylem (oczywiście według kryteriów obowiązujących w języku, na który przekładamy)¹⁸. W takim wypadku w przekładzie otrzymujemy szereg zdań formalnie równorzędnych, gdyż cały długi okres trzeba rozbić na

¹⁸ Pojęcie „dobrego stylu” jest tu rozumiane raczej socjologicznie (z punktu widzenia postaw członków danej grupy językowej) niż normatywnie – w zwykłym rozumieniu tego słowa.

poszczególne elementy. Ogólna treść, „to o czym jest mowa”, zostaje zachowana, lecz znika hierarchiczny układ, jaki cechował oryginał. Uciekając się do porównania można powiedzieć, że zamiast piramidy z klocków mamy teraz do czynienia z klockami ułożonymi rzędem jeden obok drugiego. Klocki leżą wprawdzie równo, w jednej linii, nie ma więc bezładu w sposobie ich rozmieszczenia, ale nie ma też i piramidalnego układu, jaki tworzyły poprzednio¹⁹.

Bogata, silnie rozwinięta morfologia umożliwia również wielką swobodę, jeśli chodzi o szyk zdania. Końcówki wskazujące rodzaj, liczbę, przypadek, osobę, czas, aspekt etc. Wskazują także na związki składniowe pomiędzy poszczególnymi częściami zdania niezależnie od szyku i wówczas szyk zdania można wykorzystać jako środek służący do podkreślenia akcentu znaczeniowego lub uczuciowego. Jeżeli morfologia jest bardzo uboga, związki składniowe trzeba z konieczności oznaczać przy pomocy szyku wyrazów, którego nie można już użyć do innych celów.

W niektórych wypadkach można uciec się do idiomów istniejących w językach o ubogiej morfologii, które pozwolą – przynajmniej w ograniczonym stopniu – uelastycznić szyk zdania, ale i tak ilość wariantów, jakie otrzymamy tą drogą będzie bardzo niewielka w porównaniu z możliwościami istniejącymi w języku oryginału²⁰.

Innym środkiem strukturalnym, trudnym do oddania w tych językach, które go nie posiadają, jest tzw. rodzajnik (*article*, który – jak wiadomo – w angielskim nie wyraża rodzaju gramatycznego).

Funkcje rodzajników są rozmaite i często trudne do sprecyzowania. W zasadzie rodzajnik określony, dodany do rzeczownika w liczbie pojedynczej, konkretyzuje, wskazuje, że chodzi o przedmiot jednostkowy lub określony jednoznacznie. Dodany do rzeczownika w liczbie mnogiej sygnalizuje, że chodzi albo o przedmioty już uprzednio oznaczone, albo o wszystkie elementy danej klasy. Rodzajnik nieokreślony mówi, że w grę wchodzi pewien dowolny, bliżej nieoznaczony element danej klasy. Tak więc rodzajniki stanowią dodatkowe określenie dodane do rzeczownika lub rzeczowników.

Pomijamy tutaj ściśle idiomatyczne użycie rodzajników, różne w różnych językach, gdyż w tych wypadkach rodzajniki nie dają dodat-

¹⁹ Podobne przeciwstawienie języka hebrajskiego grece i łacinie podaje A. F. Tytler, *op. cit.*, s. 64.

²⁰ Por. przykład podany przez Sobolewa, *op. cit.*, s. 114.

kowych informacji o stanie faktycznym. Tak na przykład używanie rodzajnika określonego przed nazwami geograficznymi w rodzaju: *la Pologne, the Carpathians, the Ukraine* itp., nie wnosi z naszego punktu widzenia nic nowego, gdyż polskie odpowiedniki: Polska, Karpaty, Ukraina same przez się są nazwami jednostkowymi i dlatego użycie rodzajnika we francuskim czy angielskim nie daje im żadnej dodatkowej precyzji.

Powyższe zasady ogólne mogą w praktyce znajdować odzwierciedlenie w bardzo rozmaitych sytuacjach, wymagających indywidualnej analizy. I tak w zdaniu: *He is the man for the job* pierwsze *the* oznacza: „właściwy, najlepszy ze wszystkich możliwych, właśnie taki, jakiego potrzeba”, podczas gdy drugie *the* wskazuje, że chodzi tu o jakąś pracę już wiadomą, określoną już poprzednio. Warto jest zwrócić uwagę na siłę pierwszego *the* jako określenia: *he is the man for the job* jest znacznie mocniejsze niż *he is an excellent man for the job*, mimo że *excellent* jest skądinąd przymiotnikiem dość emfaticznym. W tym drugim wariantcie nieokreśloność rodzajnika *an* niweczy w znacznym stopniu działanie przymiotnika, podczas gdy w pierwszym wariantcie rodzajnik określony *the* czyni zbędnym jakikolwiek przymiotnik.

Czasami użycie rodzajnika w inny sposób odzwierciedla stan faktyczny. Jeżeli mówimy: *The conclusions to be drawn from the second world war...*, to znaczy, że mówimy albo już w czasie tej wojny lub po niej, że chodzi o pewne już określone zjawisko historyczne. Natomiast ze zdania: *He realized that a second world war was inevitable* wynika, że odnosi się ono do czasu przed wybuchem drugiej wojny światowej, że mówi ono o jakimś wydarzeniu przyszłym, w danym momencie nie będącym jeszcze faktem. Tutaj w przekładzie na polski w obu wypadkach powiemy: „druga wojna światowa” (w odpowiednim gramatycznym przypadku). Treść obu przykładów nie ucierpi wskutek tłumaczenia, gdyż sytuacja jest w obu wypadkach jasna, ale mimo to w tłumaczeniu, wobec nieistnienia rodzajników w języku polskim, pewien stopień precyzji zaginie.

Sobolew²¹ przytacza za L. Tołstojem następujący aforyzm: *Être homme n'est rien. Être un homme, c'est quelque chose. Être l'homme, c'est tout*. I tłumaczy go mniej więcej tak (tutaj, ponieważ nie chodzi już o samą definicję przekładu, można podać własne tłumaczenie bez

²¹ *Op. cit.*, s. 78.

obawy doprowadzenia do błędnego koła): „Być po prostu człowiekiem, nie znaczy nic. Być kimś, to już coś. Być naprawdę człowiekiem, znaczy wszystko”.

Zarówno w przekładzie rosyjskim, jak i polskim zanika aforystyczna zwięzłość oryginału, wskutek czego tłumaczenie nie oddaje należycie jego formy. Oddanie formy w językach nie posiadających rodzajników jest niemożliwe właśnie z tych przyczyn, które omawiamy w niniejszym dziale. Treść można w zasadzie oddać dość wiernie, ale i tu tłumaczenie z konieczności staje się komentarzem oryginału, dość daleko posuniętą jego interpretacją, zwłaszcza gdy idzie o trzeci człon aforyzmu: *Être l'homme, c'est tout*.

Te wszystkie wahania wskazują, że ten środek strukturalny, jakim są rodzajniki, w pewnych przypadkach nie da się całkowicie oddać innymi środkami i to nie tylko z punktu widzenia formy, ale także z punktu widzenia treści.

Nie dzieje się to jednak we wszystkich przypadkach, nawet i tam, gdzie rodzajnik nie występuje w „normalnej”, najczęściej spotykanej funkcji gramatycznej, lecz pełni rolę emfazy. Na przykład:

“Queer, isn't it”, muttered his grandson, “to think that for Old Mossyface the Crimea is still the war, and the Boer business found him too old to go out...”²²

Powyższy fragment pochodzi z rozmowy prowadzonej – w założeniu autora książki – we wczesnych latach dwudziestych naszego stulecia, a więc w czasie, kiedy „the war”, a więc „wojna *par excellence*”, to była wojna 1914-1918. Przekład mógłby brzmieć:

– Dziwne, nie – mruknął jego wnuk – pomyśleć, że dla Starego Grzyba „wojna” po dawnemu oznacza wojnę krymską, a w czasie historii z Burami siedział w domu, bo już był za stary...

Tutaj zmiana szyku oraz ujęcie słowa wojna w cudzysłów rozwiązuje sprawę.

Inną grupę zjawisk językowych, w których różnica bogactwa środków strukturalnych występuje bardzo wyraźnie, stanowią formy czasownikowe. Ponieważ omawiane tu zagadnienie interesuje nas z punktu widzenia przekładalności, a nie gramatyki, podamy przykłady zarówno z dziedziny morfologii, jak i słowotwórstwa.

²² D. S a y e r s , *The Unpleasantness at the Bellona Club*, London 1947, s. 15.

Poszczególne języki różnią się bogactwem środków wyrażających aspekty i czasy. Już choćby oddanie np. w angielskim zwykłego polskiego aspektu frekwentatywnego nasuwa spore trudności. Czy zdanie *On jada w Kameralnej* należy oddać przez: *He usually dines at the Kameralna?* Czy może przez: *He often dines at the Kameralna?* Czy może: *He occasionally dines at the Kameralna?* Pojawia się tutaj ten sam dylemat, wobec jakiego stanęliśmy poprzednio przy omawianiu rodzajników: aby w zarysie oddać treść oryginału, musimy uciec się do innych środków strukturalnych niż te, które występują w przekładanym tekście, ale to użycie zastępczych środków zmusza nas do interpretacji oryginału. Jeżeli kontekst nie jest bardzo jasny, to taka interpretacja pociąga za sobą ryzyko zniekształcenia oryginału. W powyższym przykładzie jada wskazuje na czynność powtarzającą się często lub stale bez precyzowania, która z tych alternatyw jest prawdziwa. W tłumaczeniu musimy pewną formę czasownikową (aspekt frekwentatywny) nie istniejącą w języku, na który przekładamy, zastąpić środkiem zupełnie innym, a mianowicie posłużyć się przysłówkiem jako objaśnieniem dodanym do czasownika, ale przy tym zabiegu musimy również zdecydować się na wybór. W ten sposób jeżeli nie zawsze, to co najmniej w niektórych przypadkach ryzykujemy wybór niewłaściwej interpretacji, a ponadto nadajemy zdaniu większą precyzję, niż posiadało ono w oryginale, co czasami może być sprzeczne z intencjami autora, którego zamierzeniem mogło być właśnie sformułowanie bardziej ogólnikowe.

Jako inne przykłady można podać *plusquamperfectum* i *futurum II*, związane z regułami następstwa czasów (np. w łacinie, francuskim, angielskim), wskazujące na kolejność tych czynności, które są wyrażane przez czasowniki użyte w odpowiednich czasach. Podobnie ma się rzecz z angielskimi *continuous tenses*. *He writes* i *He is writing* w tak zwanym „dosłownym” tłumaczeniu oba znaczą pisze, ale ściśle biorąc pierwsze może znaczyć *zajmuje się pisaniem* (jako „zawodowy” pisarz lub z „amatorstwa”), drugie zaś znaczy *pisze w danej chwili*. W tym przykładzie interpretacja może nie nasuwać specjalnych trudności, zwłaszcza że w praktyce każde z tych dwóch zdań angielskich byłoby osadzone w jakimś kontekście i nawet – właśnie ze względu na kontekst – dodawanie interpretacji przez tłumacza może być zupełnie zbędne, ale w każdym razie brak odpowiedniego środka strukturalnego w języku przekładu sprawia, że oryginał jest bogatszy w treść od przekładu, że daje informację dokładniejszą a zarazem zwięzlejszą, co cza-

sami (np. w bardzo lakonicznym dialogu) może mieć zasadnicze znaczenie.

W pewnych przypadkach – podobnie jak to było z rodzajnikami – istnienie w języku oryginału czasu nie istniejącego w języku przekładu nie musi stanowić trudności. Na przykład, w języku polskim nie ma czasu, który by odpowiadał angielskiemu present perfect, ale mimo to różnicę pomiędzy angielskim *I was ill for two years* a *I have been ill for two years* można łatwo oddać przez *Chorowałem przez dwa lata* i *Choruję od dwóch lat* (pierwsze zdanie w każdej parze wskazuje, że choroba trwała dwa lata, ale już ustąpiła, drugie zdanie w każdej parze, że choroba trwa dwa lata i ciągnie się dotychczas).

Z innych form czasownikowych można wymienić przykładowo niektóre rodzaje imiesłowów nie istniejące np. w polskim, a spotykane np. w rosyjskim (imiesłów czynny czasu przeszłego) lub w łacinie. Co do tego ostatniego języka charakterystycznym przykładem jest forma *ausus*, wykorzystana w nazwie odznaczenia ustanowionego przez Komisję Edukacyjną: *Sapere auso*. Nazwa wymagała formy krótkiej, aforystycznej, uzyskanej w zwrocie łacińskim, a całkowicie nie do odtworzenia w polskim, gdzie zwrot *Temu, który ośmielił się być mądrym* dwóm słowom przeciwstawia sześć, a pięciu sylabom jedenaście (ewentualnie dziesięć, gdyby „który” zastąpić przez „co”), a więc nie może być mowy o zwięzłości.

Inna kategoria form czasownikowych należy do dziedziny słowotwórstwa, chodzi mianowicie o formy z przedrostkami. Trudności polegają na tym, że często formy przedrostkowe sugerują pewne stany faktyczne lub nadają odcienie uczuciowe, i jeżeli tłumaczymy na język, w którym nie można swobodnie tworzyć form przedrostkowych oraz nie można wyrazić np. aspektu frekwentatywnego, to dokładne tłumaczenie wymagałoby interpretacji wyrażającej zarówno to, na co w oryginale wskazuje aspekt (patrz wyżej), jak i to, co sugeruje przedrostek. Ale – jak już wiemy – każda interpretacja w przekładzie, dokonana przy pomocy innych niż w oryginale środków formalnych, oznacza poważne ryzyko zniekształcenia lub zbytecznego zwiężenia sensu oryginału, a skumulowanie dwóch takich interpretacji dla oddania jednego słowa (w danym wypadku czasownika) grozi bardzo dalekim odbiegnięciem od oryginału. Tam, gdzie użyta forma czasownika stanowi tylko pewną aluzję, interpretacja musiałaby postawić kropkę nad i. Ponadto forma oryginału uległaby wielkiej modyfikacji, gdyż zamiast jednego słowa

trzeba by dać wielowyzrazowe wyrażenie, i tłumaczenie zamieniłoby się w pisanie komentarza.

W naszej praktyce trudności tego rodzaju mogą najczęściej wystąpić przy przekładach z języków słowiańskich np. na angielski czy francuski.

Formy takie, jak *wysiadywać*, *przesiadywać* czy *wyczekiwać* mają pewien odcień – często trudny do sprecyzowania, i występujący wyraźniej dopiero na tle kontekstu – w szerokim sensie negatywny. Jeżeli mówimy, że ktoś godzinami *wysiada* w kawiarni albo, że po nocach *przesiada* nad książką, to wyrażamy pewną, może nieznaczoną i ukrytą, dezaprobatę takiego postępowania, które uważamy za stratę czasu czy zdrowia itp. Mówiąc, że ktoś musiał *wyczekiwać* na załatwienie swojej sprawy, dajemy do zrozumienia, że człowiek, którego mamy na myśli, był w jakiejś sytuacji przymusowej, że zależało mu na tym, aby dana sprawa została załatwiona, a nie miał możliwości przyspieszenia tego, względnie że strona, od której zależała decyzja, zwlekała z nią bez uzasadnionych przyczyn. Tę dezaprobatę lub aluzję do przymusowego położenia można przeważnie w tłumaczeniu oddać – wobec czego sprawa ma charakter bardziej teoretyczny, a nie posiada bezpośrednich konsekwencji z punktu widzenia techniki przekładu lub praktycznych trudności tłumaczenia – ale wówczas przekład nabiera cech interpretacji, np. *He spends a lot of his time in the café; He sits over his books late into the night; He had to wait long for having his business settled* itp. Interpretacja polega, jak i poprzednio, na dodawaniu specjalnych określeń, mających – ale tylko w przybliżeniu – wyrazić pewne odcienie znaczeniowe lub uczuciowe, jakie w języku oryginału kojarzą się bezpośrednio z rzeczownikiem lub czasownikiem²³.

Jeszcze inną kategorię przykładów dostarcza nam słowotwórstwo, a mianowicie zdrobniałe i rubaszne formy rzeczowników i przymiotników. I tu również sama forma rzeczownika określa nasz stosunek uczuciowy lub precyzuje znaczenie, zmuszając w tłumaczeniu na języki, które formy takie znają w bardzo ograniczonym zakresie, do puszczania się na niepewne wody interpretacji przez dodawanie przymiotników itd. W tej dziedzinie niedostateczność takiej interpretacji ujawnia się chyba najwyraźniej. W najlepszym razie zubaża ona i upraszcza

²³ Por. także: L. A. S o b o l e w, *op. cit.*, s. 121-122.

sprawy bardzo zróżnicowane w oryginale, a ponadto w wielu wypadkach zawodzi całkowicie.

Weźmy dla przykładu trzy następujące pary rzeczowników w formach podstawowych i odpowiadających im formach zdrobniałych, przy czym we wszystkich trzech wypadkach format deminutywny jest taki sam:

studnia – *studzienka*
pieśń – *piosenka*
wojna – *wojenka*.

W pierwszym wypadku forma *studzienka* znaczy właściwie tylko tyle co *mała studnia*; odcień uczuciowy, jeżeli w ogóle występuje, jest bardzo nikły i tłumaczenie na obcy język nie nasuwa w związku z tym trudności.

W drugim wypadku zdrobnienie wyraża przede wszystkim różnicę znaczeniową, *piosenka* to lepsza odmiana pieśni, lepsza pod względem formy i treści. Walczy się lub ginie z *pieśnią* na ustach, na odwrót – nuci się raczej *piosenki*, gdyż nucenie – swobodna, niezobowiązująca forma interpretacji – silniej kojarzy się nam z piosenką – swobodną i nie obowiązującą formą utworu. Tłumaczenie np. na angielski w praktyce sprowadza się do oddania obu wyrazów przez *song*. Interpretacja może być o tyle zbędna, że odbiorca przekładu angielskiego w zależności od kontekstu zorientuje się, czy chodzi o utwór poważny, czy lekki, ale to nie zmienia faktu, że tłumaczenie zubaża oryginał, gdyż język przekładu nie dysponuje pewnymi środkami strukturalnymi, istniejącymi w języku oryginale.

W trzecim wypadku sprawa jest najtrudniejsza: *wojenka* oddaje pewien specyficznie polski, beztroski, nonszalancki i lekkomyślny stosunek do wojny. Nie chodzi to o pomniejszenie, zdrobnienie czegoś istniejącego poza nami jak w wypadkach *studni* i *pieśni*, lecz o pewnego rodzaju pomniejszenie naszego sposobu odczuwania, podkreślenie lekceważenia, zawartego choćby w tekstach piosenek: *Wojenko, wojenko, cóżeś ty za pani...*, *Jak to na wojence ładnie...* itp. Jak się wydaje, wyraz ten jest całkowicie nieprzetłumaczalny ze względu na skojarzenia, które wywołuje.

Zdrobniałe formy słowa *wojna* istniejące w niektórych językach nie są odpowiednikami wojenki, ale mogą służyć jako ciekawy materiał porównawczy. Niemieckie *Krieglein* wskazuje na wojnę mało ważną i o niewielkim zasięgu, hiszpańskie *guerilla* oznacza specjalny sposób prowadzenia wojny przez oddziały nieregularne, i stał się – przynaj-

mniej w niektórych językach – terminem technicznym na określenie wojny partyzanckiej. Oba one są jednak przetłumaczalne – w przeciwieństwie do wojenki, którą w angielskim czy francuskim trzeba by ostatecznie oddać przez *war* lub *guerre*, rezygnując z wyrażenia odcienia uczuciowego, w praktyce niemożliwego do „wyinterpretowania” przez dodanie przymiotnika czy innego określenia.

Innym, bardzo podobnym przykładem – polegającym na specyficznych skojarzeniach i na szczególnym sposobie odczuwania – będącym z punktu widzenia słowotwórstwa zdrobieniem, jest *Warszawka*.

Sam fakt występowania zdrobnienia w nazwie topograficznej nie jest w polskim niezwykły: mamy przecież *Chylice* i *Chyliczki*, *Rawę* i *Rawkę*, *Powsin* i *Powsinek*. Uderzające jest to, że w naszym przypadku obie nazwy, zwykła i zdrobniła, odnoszą się do tego samego przedmiotu, w przeciwieństwie do przykładów wymienionych, gdzie mamy do czynienia z parami nazw i odpowiadającymi im parami przedmiotów przez nie oznaczanych.

Zdrobniła forma *Warszawka* wyraża więc pewien stosunek do miasta, miasta traktowanego jako źródło czy miejsce przyjemności i zabawy. Pewnych odległych zresztą analogii można by się doszukać w parze *kobieta* – *kobietka*, jednak w tym drugim wypadku mamy do czynienia z imieniem pospolitym, nie ograniczającym więc ilości desygnatów.

Co się tyczy pary *Warszawa* – *Warszawka*, to sytuację komplikuje fakt, że oba te terminy przeniosły się w pewnym stopniu na ludność miasta, ale w ten sposób, iż tu każdy termin otrzymał swój własny desygnat: *Warszawa* to ogół ludności miasta lub też olbrzymia jej większość, żyjąca z solidnej i uczciwej pracy, *Warszawka* to głównie dostarczyciele i konsumenci uciech, a w najlepszym razie ludzie nawet i pożyteczni, lecz należący do marginesu społecznego. Ten ostatni odcień znaczeniowy ilustruje fragment z *Kwiatów polskich*:

A gdy po latach i pan Artur,
Zwany powszechnie Artizokiem,
Dał nagle susa w raj lampartów,
Rażony erotycznym szokiem,
Tj., gdy z ramion pewnej Ziotki
Zwalił się martwy w słodkich drgawkach –
Rzewnie żegnała go *Warszawka*:
Szum żalu poszedł przez „ogródky”,

Chlipały, w trykot obciągnięte,
 Skoczne szelmutki i filutki
 I żałowały go namiętnie
 Panny od Wedla waniliowe,
 Dziecinnych naszych lat królowe,
 Kwiaciarki i kwiaciarze z Alej,
 Co zwinnie nocą wskakiwali
 Na stopnie drynd dwukonnych w biegu,
 I subiekt Piotr od Krzemińskiego,
 I subiekt Leon od Fukiera,
 I Schmandtke, agent Roederera,
 I dwaj posłańcy spod Bristolu,
 Bajeczne wspominając „kursa”,
 I cwani pikolacy w hallu,
 I babcia w katakumbach Lursa,
 I zmarkotnieli, osowiali
 Kelnerzy z Malinowej sali,
 A ober, który od Karowej
 Prowadził raj gabinetowy
 (Umysł sceptyczny i głęboki)
 Zapisał w swoim pamiętniku:
 „Artiszok klapł. Cios dla epoki”²⁴.

Dalszą konsekwencję takiej interpretacji *Warszawki* jest pojęcie *Warszawiaczków*. U Tuwima wyraz ten jest aluzją do niefrasobliwego, płytkiego sposobu reagowania, jaki przypisywano mieszkańcom Warszawy lub pewnej ich części.

Partyzant z twarzą nietzscheańską
 Z politykami pertraktuje
 A nocą czyta Słowackiego [...]
 W salonach dawno nie wietrzonych
 Gniewne hrabiny i matrony
 Contre coeur przyznawać zaczynają,
 Że piękny ten jakobin polski,
 A Księżę Regent – zachwycony...

²⁴ J. Tuwim, *Kwiaty polskie*, wyd. 3, Warszawa 1954; s. 208-209.

Mówi, że wprawdzie krnąbrny, szorstki,
 Lecz cóż? – „w powiecie mejszagolskim
 Jeszcze nie rodzą się Burbony”.
 Nieswojo lekkim warszawiaczkom...
 Obsiedli stolik – i w perory,
 W domysły, plotki, dąsy, spory
 Nad niebywałą do tej pory
 Figurą żmudzko-austriacką²⁵.

Z formami rubasznymi, które nieraz maskują właściwie pozytywny stosunek uczuciowy ze strony mówiącego czy piszącego, rzecz ma się na ogół podobnie jak ze zdrobnieniami. Z punktu widzenia tłumacza najważniejsze jest to, że formy zdrobniałe i rubaszne bardzo często nie tylko wskazują przedmiot, o który chodzi, ale jednocześnie wyrażają stosunek uczuciowy do niego, a zatem mówią coś więcej niż sama „nazwa” w wąskim, teoretycznym sensie tego terminu. W językach, w których zasady słowotwórstwa nie dają możliwości budowania form zdrobniałych i rubasznych, konieczne jest jakieś interpretowanie (z reguły za pomocą przymiotników) odcieni znaczeniowo-uczuciowych takich słów, jak

<i>chłopina</i>	–	<i>chłopisko</i>
<i>psina</i>	–	<i>psisko</i>
<i>księżczyzna</i>	–	<i>księżczyśko</i>

Interpretacja taka napotyka w praktyce na znaczne trudności, gdyż odcienie uczuciowe, wyrażane drogą wyżej podanych odmian słowotwórczych, nie są sprecyzowane i dlatego bardzo trudne do oddania innymi środkami. Na przykład *księżczyzna* to jakaś książka niewielka i niepokaźna, często zniszczona lub podniszczona, i raczej stara. No, ale to nie jest określenie, które można podać w tłumaczeniu. Jeżeli nawet w oryginale mamy określający przymiotnik pokrywający się mniej więcej z tą interpretacją, to on i tak nie rozwiązuje sprawy, bo np. po polsku *podarta książka* to nie to samo co *podarta księżczyzna*. Te praktyczne trudności zwiększa ponadto fakt, że odcień znaczeniowo-uczuciowy słowa występującego w formie zdrobniałej lub rubasznej może się zmieniać w zależności od określenia przymiotnikowego: w wyraże-

²⁵ *Op. cit.*, s. 217-218.

niach *ordynarne chłopisko, stare chłopisko, pocziwe chłopisko* odcień słowa chłopisko jest za każdym razem nieco inny.

Jeżeliby nawet przyjąć, że te trudności dadzą się pokonać, że po dokładnej analizie kontekstu uda się ustalić, jaką dodać interpretację, to i tak pozostaje trudność podstawowa, bardziej „teoretyczna”, lecz znajdująca swe odbicie w praktycznej działalności tłumacza, a mianowicie, że ta interpretacja – oznaczająca dopisywanie przez tłumacza takich czy innych określeń lub wyjaśnień – pociąga za sobą nieuchronnie większą lub mniejszą zmianę stylu, niszczy zwięzłość, ponieważ zwiększa procent przymiotników, i w ten sposób wywołuje u odbiorcy inne reakcje (zespoły skojarzeń), niż to czyni oryginał.

W praktyce trzeba iść drogą pośrednią, w zależności od wypadku albo rezygnując w ogóle z interpretacji (jak w przypadku *wojenki*), albo stosując ją w sposób umiarkowany, a w każdym razie godząc się z koniecznością pewnego zubożenia oryginału.

Możemy mieć również do czynienia z formami, które pełnią funkcje grzecznościowe. Spotkamy się z nimi np. w japońskim. Nie chodzi przy tym o dobór słów określających rzeczy lub czynności związane z osobą, do której się mówi (choć takie formy wyrażania grzeczności istnieją w japońskim również), ale o formy czasownikowe określające czynności lub stany, które wcale nie dotyczą adresata wypowiedzi. Na przykład w zwykłej informacji (nawiązującej do poprzedniej rozmowy): *Ta książka jest tam* forma *aru* (być, zarówno bezokolicznik jak i formy osobowe czasu teraźniejszego) jest mniej grzeczna od dłuższej formy *arimasu*, jakkolwiek dla adresata jej walor ściśle informacyjny, gdy chodzi o lokalizację książki będącej tematem rozmowy, jest identyczny. (Dla czytelnika walor może być nie identyczny, gdyż użycie tej a nie innej formy może informować o wzajemnym stosunku w hierarchii społecznej osób rozmawiających, jeżeli czytelnik nie otrzymał tej informacji wcześniej). W polskim (i nie tylko w polskim) oddanie takiego odcienia jest niemożliwe wobec braku odpowiedniego różnicowania form czasownikowych.

Zupełnie inne problemy pojawiają się w tych wypadkach, gdy dokonujemy przekładu z języka o uboższej morfologii na język o bogatszej morfologii. Powraca tu wprawdzie zagadnienie interpretacji, ale przedstawia się ono inaczej.

Jeżeli mamy przetłumaczyć na angielski polskie zdanie *On się nadaje do tej pracy*, to musimy się zdecydować w tłumaczeniu na wybór pomiędzy: 1. *He is a man for the job*, i 2. *He is the man for the*

job. Każdy z tych wariantów znaczy co innego i dokonując wyboru dajemy również pewną interpretację tekstu oryginalnego: rozstrzygamy, czy chodzi o jedyne go człowieka nadającego się do danej pracy, czy też o jednego z wielu kandydatów.

Podobna sytuacja powstaje np. przy tłumaczeniu z chińskiego, języka nader ubogiego w morfologię. Jeżeli w zdaniu chińskim mamy *sui ju*, gdzie *sui* jest partykułą wyrażającą aspekt koncesywny, oddawaną zwykle przez *choć* lub *choćby*, a *ju* znaczy mieć (dla uproszczenia przyjmujemy, że ze względu na kontekst, w naszym przykładzie nie podany, możemy wykluczyć inne znaczenie słowa *ju*), i jeżeli dalej, również ze względu na kontekst, wiemy, że w tłumaczeniu polskim podmiot wymaga czasownika w trzeciej osobie liczby pojedynczej oraz – tam, gdzie to jest konieczne – w rodzaju gramatycznym męskim, to i tak pozostają jeszcze trzy możliwości tłumaczenia: 1. *choć* ma, 2. *choć* miał, 3. *choć*by miał. Chińskie *ju* używane jest do wyrażania wszystkich trzech stanów faktycznych wobec braku w języku chińskim odpowiednich różnicujących środków strukturalnych, natomiast sam fakt tłumaczenia na polski zmusza nas do wybrania jednej z powyższych możliwości. Ale ten wybór to nie jest sprawa czysto językowa, jakkolwiek względy językowe decydują o konieczności jego dokonania. Wybór ten oznacza również sprecyzowanie w przekładzie tego stanu faktycznego, który w oryginale określony był bardzo ogólnikowo: każda z tych trzech możliwości implikuje odpowiedni: 1. *ma*, 2. *miał*, 3. *nie ma* (lub: *nie miał*, *nie będzie miał*). Forma chińska obejmuje wszystkie trzy możliwości, ale nie daje pierwszeństwa żadnej z nich.

Jeszcze jeden przykład z japońskiego:

„Język przekładowy dysponujący większą ilością kategorii gramatycznych (rzeczownik, czasownik, przysłówki, rodzaj, liczba, przypadek, osoba itp.) niż język przekładany jest mało giętkim narzędziem oddawania treści prostszego oryginału, choć z drugiej strony odtworzenie efektów np. »rodzaju« w języku, który rodzajów gramatycznych nie zna, jest raczej niemożliwe.

Podać tu można szereg przykładów. Np. prosty zupełnie tekst, gdzie nie wiadomo, czy w tłumaczeniu stosować liczbę pojedynczą czy mnogą, gdy dla Japończyka jest to kwestia nie istniejąca:

<i>ieno sobani kiga</i>	<i>arimasu</i>	<i>nambon arimasuka</i>
domu obok drzewo (a)	być (jest) (są)	ile sztuk jest li?

Jeśli po polsku przetłumaczymy pierwsze zdanie przez 'obok domu jest drzewo', to nie będzie sensu zadawać następnie pytania 'ile ich jest'; skoro zaś przełożymy: 'obok domu są drzewa' – 'Ile ich jest?', to znowu dziwną się wyda liczba mnoga zdania pierwszego przy odpowiedzi: 'Jest jedno'.²⁶

Tu również musimy się uciekać do interpretacji, ale interpretacji innego rodzaju niż poprzednio. Tam oryginał precyzował stan faktyczny, a interpretacja polegała na oddaniu tej precyzji – w miarę możliwości – w innym języku i przy pomocy innych środków dla tego języka właściwych. Interpretacja ta nie zawsze była zresztą możliwa. Tutaj interpretacja polega na sprecyzowaniu, jaki stan faktyczny kryje się za mglistym, ogólnikowym sformułowaniem oryginału, przy czym interpretacja ta jest koniecznością, gdyż struktura języka, na który przekładamy, zmusza nas do dopowiedzenia tego, co w oryginale pozostawało nie-domówione.

Można by wysunąć zastrzeżenie, że tego rodzaju sprawa nie należy do teoretycznych zagadnień operacji tłumaczenia, gdyż jedynie wymaga ona od tłumacza szczególnej uwagi przy ustalaniu, jaki stan faktyczny kryje się za ogólnikowym sformułowaniem oryginału. Pogląd taki byłby jednak błędny. Niewątpliwie najczęściej chodzi tylko o sprecyzowanie stanu faktycznego, rzecz czasami łatwą a czasami trudną, lecz prowadzącą się do pewnego zagadnienia praktycznego, ale w pewnych wypadkach problem wykracza poza ramy trudności praktycznych. Dzieje się tak wówczas, gdy nieokreśloność sformułowania występująca w oryginale jest wykorzystana do tego, żeby wywołać wielokierunkowe skojarzenia podobne do tych wielokierunkowych skojarzeń, jakie miewamy przy grze słów. Gdy w tłumaczeniu z konieczności zastępujemy sformułowanie ogólnikowe przez sformułowanie sprecyzowane, uzyskujemy ścisłość, która w tym wypadku nie tylko nie pomaga, ale przeciwnie – szkodzi, gdyż ogranicza skojarzenia

²⁶ W. K o t a ń s k i, *Językoznawcza problematyka przy przekładach ze współczesnego potocznego języka japońskiego* (praca nie ogłoszona drukiem), s. 113 maszynopisu. Autor niniejszej pracy pragnie przy sposobności podziękować Panu Doc. W. Kotańskiemu za udostępnienie maszynopisu i zgodę na zacytowanie powyższego fragmentu.

do jednego kierunku. Sam fakt dokonania przekładu niszczy zamierzony efekt oryginału, ponieważ uniemożliwia różnorodność skojarzeń, a więc stajemy wobec zagadnienia natury teoretycznej, gdyż nie chodzi tu już o większą czy mniejszą bystrość lub zręczność tłumacza, lecz o pokonanie pewnej trudności obiektywnej, jaką jest różnica struktury języka oryginału i języka przekładu. Nie trudno się zorientować, że nie można znaleźć teoretycznego rozwiązania tego problemu, które by całkowicie zadowalało: w konkretnych wypadkach można jednak przez użycie form jak najbardziej bezosobowych i ogólnikowych uniknąć nadmiernego odbiegnięcia od oryginału. Taką też należy przyjąć zasadę praktyczną, licząc się z tym, że w wielu wypadkach trudności mogą się okazać nie do przewyciężenia. Z teoretycznego punktu widzenia wchodzi tu w grę co najmniej częściowa nieprzekładalność, a czasami nawet całkowita nieprzekładalność, jeżeli w oryginale właśnie mglistość i ogólnikowość sformułowania, wynikająca z pewnych gramatycznych cech języka, jest podstawą, na której opiera się jakaś gra słów lub zamierzona wieloznaczność.

* * *

Dotychczasowe rozważania dotyczyły różnic w systemach gramatycznych poszczególnych języków. Tłumacz może się jednak spotkać z trudnościami wynikającymi z różnic w strukturach fonetycznych, dzielących rozmaite języki.

Trudności bywają wielorakie. Czasami mogą być to słowa onomatopieczne, których odpowiedniki znaczeniowe w języku, na który się dokonuje przekładu, nie mają charakteru onomatopei. W takich wypadkach w tłumaczeniu otrzymamy efekt słabszy, gdyż do odbiorcy przemawiać będzie tylko sens danego słowa czy wyrażenia, podczas gdy u odbiorców oryginału skojarzenia znaczeniowe były wzmacniane przez skojarzenia wyływające z brzmienia słowa lub zwrotu.

Innym przykładem może być nagromadzenie w oryginale pewnych dźwięków celem uzyskania efektów fonetycznych, potęgujących lub uzupełniających wrażenie, jakie daje treść utworu. Nagromadzenia takie spotykamy najczęściej w poezji lub prozie poetyckiej. I tak zagęszczenie dźwięku *-r-* polskim daje efekt pewnej twardości lub grozy – oczywiście pod warunkiem, że treść utworu daje skojarzenia w tym samym kierunku. Jeżeli tłumaczymy na język, w którym nie ma

dźwięku *-r-*, np. na chiński, gdzie dźwięk ten nie istnieje w postaci analogicznej do polskiego *-r-*, efektu tego nie zdołamy odtworzyć.

Podobna trudność wystąpi, gdy trzeba oddać w tymże chińskim odmienny sposób wymawiania (czy raczej niewymawiania) *-r-* w niektórych polskich środowiskach arystokratycznych²⁷. Skoro w języku przekładu nie istnieje dźwięk *-r-*, to nie da się w tym języku wyrazić ani tego, że w oryginale dźwięk ten jest wprowadzony szczególnie często dla osiągnięcia określonych efektów, ani tego, że jest on zniekształcony, co z kolei jest zamierzonym chwytem o walorze bądź informacyjnym (przynależność mówiącego do pewnego środowiska), bądź artystycznym (satyra, parodia itp.).

Może się jednak zdarzyć, że w języku, na który przekładamy, takie same lub podobne skojarzenia łączą się z jakimś innym dźwiękiem (lub zespołem dźwięków), i wówczas zadanie tłumacza – zgodnie z zasadą wywołania u odbiorców przekładu takich samych lub podobnych skojarzeń, jakie powstawały lub powstają u odbiorców oryginału – polega na tym, aby treść oryginału oddać w przekładzie słowami, wśród których dźwięk ten, lub zespół dźwięków, występuje możliwie często.

Trudno byłoby wyliczać wszelkie możliwe trudności, jakie mogą się pojawić przy tłumaczeniu z jakiegoś języka na jakiś inny język, tym bardziej że celem tej pracy jest zwrócenie uwagi na rodzaje trudności oraz podanie pewnych ogólnych wskazówek czy wyjaśnień, które w konkretnych wypadkach mogłyby być wykorzystywane wprost lub też *per analogiam*. Dlatego też ograniczę się przy omawianiu fonetycznych środków formalnych do jeszcze tylko jednego przykładu, który zresztą okaże się pomocny przy późniejszych rozważaniach. Chodzi o pewną parodię, której pierwsza strofa brzmi:

Przez gwiazdne niebo jak przez durszlak
Noc sieje żdźbła mdłe blasków ostrych,
Gwóźdź Kacper mknie przez twardych dróg szlak
A idą za nim słupy wiorst pstre²⁸.

²⁷ Por.: A. M. Swinarski, *Parodie*, Warszawa 1955, s. 32-37.

²⁸ J. Tuwim, *Jeszcze jeden wiersz Wiktora Andrzeja Butnego*, „Nowa Kultura” nr 25 (117) z 22 VI 1952.

Pominiemy tu fakt, że wiersz ten – co wynika z dwóch dalszych strof – parodiuje również sposób ujęcia tematu współzawodnictwa pracy przez niektórych współczesnych poetów polskich, a zwrócimy uwagę na pewne jego cechy z zakresu fonetyki. Zacytowana strofa odznacza się licznymi zbitkami spółgłosek – występują w niej kilkakrotnie grupy trzech i czterech spółgłosek, a raz nawet widzimy sekwencję siedmiu spółgłosek. Ponieważ chodzi o parodię, ta cecha fonetyczna wiersza jest wyolbrzymieniem cech fonetycznych utworów parodiowanych, wyolbrzymieniem mającym na celu efekt humorystyczny: a zatem cecha ta jest najbardziej zamierzona i jak najbardziej istotna dla cytowanego utworu. Co jednak ma uczynić tłumacz przekładający tę parodię na język, którego struktura fonetyczna nie dopuszcza zbitek spółgłoskowych, jak np. chiński i japoński, w których najwyższej dwie spółgłoski mogą następować jedna po drugiej z fonetycznego punktu widzenia (w transkrypcji alfabetem łacińskim sekwencja liter symbolizujących spółgłoski może być dłuższa, co oczywiście nie ma wpływu na wymowę)? W tym wypadku trzeba powiedzieć, że mamy do czynienia z całkowitą nieprzekładalnością pewnej cechy strukturalnej, gdyż z jednej strony jest ona istotnym elementem oryginału (decyduje o pewnych zasadniczych skojarzeniach u jego odbiorców) i dlatego pominięcie jej w przekładzie lub zastąpienie innymi środkami pociągnie za sobą brak ważnych dla danego utworu skojarzeń u odbiorców przekładu, a z drugiej strony oddanie tej cechy w języku przekładu jest niemożliwe z obiektywnej przyczyny, jaką stanowi struktura fonetyczna tego języka²⁹.

* * *

Środki graficzne używane w danym języku również mogą w poszczególnych przypadkach stać się przyczyną poważnych trudności tłumacza, jakkolwiek trudności te najczęściej dotyczyć mogą spraw raczej drugorzędnych.

²⁹ Wchodzi tu w grę bardzo rozległe a obecnie intensywnie badane zagadnienie podobieństwa sekwencji pewnych słów, liter lub dźwięków w danym języku. Por.: C. Shannon, W. Weaver, *The Mathematical Theory of Communication*, The University of Illinois Press 1949, szczególnie s. 99-105.

W tych systemach graficznych, w których istnieją duże litery (np. alfabet łaciński w różnych odmianach, głagolica), litery te bywają używane do podkreślenia szczególnego stosunku uczuciowego do pojęć oznaczanych przez słowa, które normalnie pisze się z małej litery. Konwencje dotyczące używania dużych liter różnią się znacznie w poszczególnych językach (litery te np. stosuje się znacznie częściej w niemieckim niż w angielskim, a w angielskim znacznie częściej niż w polskim), ale te sytuacje, które są dokładnie uregulowane zwyczajami, nie dają odbiorcom tekstów żadnych specjalnych skojarzeń i dlatego nie mają na ogół znaczenia przy omawianiu zagadnień przekładu: po prostu konwencję obowiązującą w języku oryginału zastępuje się przez konwencję wymaganą przez język przekładu i wówczas brakowi szczególnych skojarzeń u odbiorców oryginału odpowiadać będzie brak szczególnych skojarzeń u odbiorców przekładu. Zachowanie w przekładzie konwencji języka oryginału wywołałoby u odbiorców przekładu wrażenie czegoś niewłaściwego, ale takie nieprzestrzeganie konwencji wiążącej w języku, na który tłumaczymy, jest zwykłym błędem wynikającym z nieznamości rzeczy, a tymi sprawami *ex definitione* zadań tej pracy nie będziemy się zajmować.

Chodzi tutaj o przypadki, w których użycie dużej lub małej litery wykracza poza ustalone zasady i w znacznej mierze zależy od autora tekstu. Możemy się spotkać np. z wyrażeniami, jak *to nie Miłość, lecz miłość; prawda przez duże P*, albo z rozróżnieniem graficznym pomiędzy formą *ojczyzna* a *Ojczyzna*. Jeżeli tłumaczymy na język, którego pismo nie zna rozróżnienia na małe i duże litery (języki, w których pisze się alfabetem dewanagari, arabskim, hebrajskim, itd., a także te języki, których pismo opiera się na zasadzie ideograficznej jak chiński), to tego rodzaju chwytły graficzne są nieprzetłumaczalne.

W analogiczny sposób nieprzekładalne są – choćby przy zwykłej różnicy alfabetów, nie mówiąc już o rozbieżnościach pomiędzy pismem alfabetycznym a pismem opartym na innych zasadach, jak ideograficznej – wszelkie aluzje do kształtu symboli graficznych, zwłaszcza jeśli aluzje te związane są bezpośrednio z tekstem. Jako przykład fragment z *Kwiatów polskich*:

Cudowne dni! To słowu „Bóg”
Za słowo „wolność” lud dziękuje.
I modli się o słowo „moc”,
I w obiegu rusza zgłoska pusta,

Otwierająca puste O,
Jak głupi tenor głupie usta³⁰.

Mamy tu obrazowe podobieństwo dużej litery „O” do otwartych ust, a ponadto aluzję do „o” jako do jedynej samogłoski w słowach *wolność* i *moc*. Już przetłumaczenie tej aluzji, nawet na język, w którym pisze się alfabetem łacińskim nasuwa spore trudności, jeżeli jednak w grę wchodzi przekład na język, w którym używa się innego systemu graficznego niż alfabet łaciński, wtedy problem jest nie do rozwiązania – i mamy do czynienia z klasycznym przypadkiem nieprzekładalności.

Stosowane w tekstach technicznych posługiwanie się dużymi literami jako symbolami w takich wyrażeniach, jak: żelazo T, żelazo H, dach M, itp. nie należy ściśle biorąc do tej kategorii, gdyż litery te wykorzystywane są w tych przypadkach raczej nie jako elementy pisma, lecz jako pewne obrazkowo użyte układy kresek i dlatego układy takie można wprowadzić również i do innych systemów graficznych, przy czym z kontekstu będzie zawsze jasno wynikało, że chodzi tu o bardzo uproszczone rysunki, nie zaś o elementy systemu graficznego.

Analogiczne trudności występują przy tłumaczeniu na język, w którym używa się pisma alfabetycznego, aluzji do form ideogramów w języku posługującym się pismem ideograficznym. Jako przykład, odpowiednio skomentowany, stara anegdota chińska:

Pewien wykształcony Chińczyk otrzymał od swego znajomego, człowieka równie uczonego jak on sam, zaproszenie, aby przyszedł do niego na „połowę księstwa Lu”. Zaintrygowany tego rodzaju sformułowaniem, udał się z wizytą, w czasie której gospodarz poczęstował go rybą (ideogram oznaczający rybę stanowi górną część ideogramu będącego nazwą księstwa Lu). Po pewnym czasie, pragnąc zrewanżować się za przyjęcie, skierował do swego niedawnego gospodarza analogiczne zaproszenie. Gdy gość przybył, siedział z nim długo w upał na tarasie, a gdy gość uczynił aluzję do spodziewanego poczęstunku, wyjaśnił ze śmiechem, że zaprosił go na „dolną połowę Lu” (dolną połowę tego ideogramu stanowi znak będący symbolem słońca).

Jeżeli skreślimy wyjaśnienia zawarte w nawiasach, otrzymamy mniej czy więcej udane tłumaczenie anegdoty, ale dla czytelnika pol-

³⁰ J. Tuwim, *Kwiaty polskie*, s. 216.

skiego będzie ono całkowicie niezrozumiałe właśnie ze względu na aluzje do form poszczególnych ideogramów, dodane zaś objaśnienia są już komentarzami wykraczającymi poza granice przekładu. Anegdota jest więc nieprzekładalna na polski, podobnie zresztą jak i na wszystkie języki nie posługujące się ideogramami chińskimi; można jej sens wyjaśnić dodatkowymi uwagami, ale wówczas nie będzie to już zwykłe tłumaczenie.

Weźmiemy jeszcze jeden przykład ilustrujący, jak system graficzny danego języka uniemożliwia przetłumaczenie pewnych form, związanych z innym systemem graficznym. Chodzi tu o tak zwane rymy dzielone typu

...zowie się Jendykowi-
Czówna, jej wynalazek epokę stanowi³¹.

Rymów tego rodzaju, stosowanych zresztą najczęściej, jeżeli nie wyłącznie tam, gdzie chodzi o efekt humorystyczny, używał niejednokrotnie Boy-Żeleński. Otóż osiągnięcie takiego efektu jest niemożliwe przy przekładzie na chiński, gdyż ideogramów nie można dzielić w sposób analogiczny do słów pisanych alfabetem głoskowym lub sylabowym. Ideogram stanowi skończoną całość, a jeżeli chodzi o wymowę odpowiada jednej sylabie. Jeżeli nawet składa się on z części posiadających samodzielne znaczenie, to łączna wymowa tych elementów wziętych samodzielnie nie równa się wymowie ideogramu jako całości (to samo dotyczy znaczeń).

*
* *

Jak była o tym mowa uprzednio, porównanie dwóch języków różniących się środkami strukturalnymi da się teoretycznie sprowadzić do sumy porównań danych dwóch języków, dokonywanych za każdym razem z punktu widzenia poszczególnych środków strukturalnych, którymi oba te języki dysponują. W takim przypadku będziemy mieli do czynienia z dwoma językami *A* i *B*, z tym, że język *A* będzie rozporządzał środkami $x_1, x_2, x_3, \text{ itd.}$, zaś język *B* środkami $y_1, y_2, y_3, \text{ itd.}$, przy

³¹ A. Mickiewicz, *Pan Tadeusz*, Księga III, w. 29-30.

czym w zależności od tego, czy będziemy rozpatrywali środek z grupy *x* czy grupy *y*, bądź *A*, bądź *B*, okazywać się będzie językiem bogatszym w środki strukturalne (zgodnie z przyjętą wyżej definicją).

Mimo to, choć sprawa jest pozornie jasna, dla celów teoretycznych może się okazać przydatne rozpatrzenie przypadku, kiedy różnice w środkach strukturalnych występują szczególnie jaskrawo. W tym celu porównamy dwa języki należące do różnych grup – mianowicie polski i chiński – a ponadto do takiego porównania wybierzemy taki rodzaj tekstów, w którym środki strukturalne odgrywają szczególnie ważną rolę, to jest teksty poetyckie. Porównanie dotyczyć będzie przede wszystkim sprawy rymów, długości wiersza, rytmiKI oraz budowy stroficznej.

Rym istnieje wprawdzie zarówno w poezji polskiej, jak i chińskiej, lecz opiera się na odmiennych zasadach. W chińskim warunkiem rymu jest nie tylko zgodność wygłosu, ale również i zgodność tonu (sposobu intonacji w obrębie jednej sylaby; w dialekcie uchodzącym za standardowy tonów takich jest cztery). W polskim natomiast nie ma tonów, a więc pod tym względem nasze rymy są uboższe od chińskich, ale z drugiej strony istnieje rozróżnienie rymów męskich i żeńskich, czego znów nie ma w chińskim, gdyż tam rym ogranicza się do jednej sylaby³². A zatem w przekładzie z chińskiego na polski muszą zaginać efekty w oryginale stwarzane przez tony, a w przekładzie w przeciwną stronę – to, co osiągamy wykorzystując różnicę pomiędzy rymami żeńskimi a męskimi.

Jeszcze silniejsza rozbieżność istnieje w dziedzinie długości wersu (w sensie jednej linijki tekstu lub – w wypadku chińskiego – tego, co według naszej konwencji graficznego układu tekstów poetyckich mieściłoby się w jednej linijce; odmienny układ graficzny dawniejszych tekstów chińskich zmusza do wprowadzenia tego może trochę pedantycznego wyjaśnienia). W chińskim wynosi ona zwykle 4-7 sylab, podczas gdy w polskim na ogół zamyka się w granicach od 8 do 13 sylab, czyli z reguły mamy do czynienia z dwoma rozłącznymi zakresami.

Równie istotne różnice spotykamy w rytmice. W poezji chińskiej obowiązują skomplikowane zasady dotyczące sekwencji tonów zarówno w wersie, jak i w grupach kolejnych wersów; po słowach wymawianych w pewnych tonach mogą następować słowa wymawiane w pew-

³² Ścisłej – nie wykracza poza jedną sylabę, czasem zaś sprowadza się do wygłosu jednej sylaby.

nych określonych tonach, nie mogą zaś następować te, które wymawia się w innych tonach. Przepisów tych nie będziemy tu omawiać szczegółowo, gdyż wymagałoby to rozprawki z zakresu poetyki chińskiej. Wystarczy powiedzieć, że chodzi o zespół przepisów dotyczących formalnej budowy poematu – mianowicie intonacji i rytmiki – a nie dających się odtworzyć w języku polskim (podobnie zresztą jak i w olbrzymiej większości innych języków), gdyż w polskim tego rodzaju środki strukturalne nie istnieją.

Podobnie ma się rzecz przy próbach tłumaczenia w odwrotnym kierunku. Po chińsku nie można oddać różnic związanych z budową rytmiczną wiersza polskiego, z istnieniem w naszych zasadach wersyfikacyjnych takich miar, jak jamb, amfibrach itd. Największa trudność powstaje w tych wypadkach, gdy użycie określonego metrum służy wyraźnie pewnemu celowi artystycznemu przez to, że ma uzupełnić od strony fonetycznej wrażenia czy obrazy związane z treścią danego utworu lub fragmentu. W takim bowiem wypadku zastąpienie formy wersyfikacyjnej właściwej dla języka oryginału przez jakąś inną formę wersyfikacyjną właściwą dla języka przekładu automatycznie pociąga za sobą nieuniknioną rezygnację ze środka artystycznego związanego ze strukturą języka, a ważnego przez to, że w bardzo bezpośredni sposób służy do wzmocnienia skojarzeń sugerowanych przez treść.

Jeżeli porównamy dwa opisy pochodów, z których każdy jest na swój sposób uroczysty, a mianowicie opis niemieckiej parady wojskowej:

Przed Grand Hotelem w mieście Łodzi
Z trzaskiem parademarsz odchodzi.
Brodaty landszturm, w lewo łby,
A karną linią za feldfeblem
Wyrzuca sztywno i uparcie
Podkute stopy. Trzeszczy werblem
Grzmot pruskich bębnow. A na warcie,
Wpatrzony w marsz jak wierne psy,
Giętkie lejtnanty, adiutanty:
Czerwony kołnierz, monokl, trzcinka,
Cienka jak ostry gwizd piszczałek:
„Za Ren, za Ren, niemiecki Ren”,
I gość dostojsny – feldmarszałek,
Szkarałatno-siwy Mackensen.

A pośród tłumu gapiów Łodzian
Miota się gniewnie chudy młodzian.
Kapelusz na nos, kołnierz sztorcem,
Wściekłością trzepie jak proporcem,
Oczami krzyczy Marsylianę
I ostrzem wbija w pruski szyk
Nienawiść młodą, mściwy krzyk:
Za Łódź, za wolność, za kochankę,
Z którą umówił się na randkę
W cukierni naprzeciwno. Toć
Nie puści szucman, rudy pałkarz,
W obliczu sztabu, feldmarszałka
I krajskomendy miasta „Łodz”.
Nie wiedzą, jaka to męczarnia,
Nie słyszy Foch, nie wierzy Bóg!
I wciąż, i wciąż cesarska armia
Paradą rąbie łódzki bruk,
I wciąż rozdyma przez piszczałki
Sekundy w wieki jak balony,
Butami bębnow bataliony
Druzgocą serce na kawałki.
Narody! Zaraz koniec! Stąd,
Z armaty w gardle, cios ugodzi,
I pęknie front, ostatni front
Przed Grand Hotelem w mieście Łodzi.
Zachód od lewej, wschód od prawej
W boki sprężyny wparły dwie –
Rwij! Wskocz z łuku! Oczy lwie
W powietrzu wrył – i skacze, rwie,
Drze uroczysty marsz plugawy,
Między chorążym i doboszem
Prześliznął się zwycięskim Fochem
I w tłum po drugiej stronie szast!
I wtedy jakby tysiąc miast
Runęło za nim. Jakby globus
Pękł wrzaskiem Niemca: „Sie, Mikrobus!
Kreuzsappermenrebel! Sie!”
...Wpadł do cukierni. Śmiech i łzy³³.

³³ J. Tuwim, *Kwiaty polskie*, s. 121-123.

z opisem pochodu pogrzebu:

A idą posepni
ze wszystkich kościołów
z cechami, wieńcami,
co kwietne, pachnące,
w tysiące były liczone.

I chłopcy sukmanne
i pany strojone
w ponsowe żupany, delije.

I dziewczki przekrasne,
panięta przejasne,
jaśniejsze niż białe lelije.

A idą żałobni,
a idą posepni
przez długie ulice podgrodne;

a idą żałobni,
a idą posepni
choć niebo błękitem pogodne.

Wiatr chmury przegania
to skrywa, osłania
orszaki pochodne, stokrotne;

A cienie się wiją,
to jaśnia, to kryją,
to w biegu znikają przelotne.

A oni posepni,
a grają im dzwony
ze wszystkich kościołów zawodne³⁴.

³⁴ S. Wyspiański, *Kazimierz Wielki*, strofa LXXXIII.

stwierdzimy z łatwością, że miary wiersza użyte w obu tych wypadkach są jak najbardziej istotnym środkiem artystycznym. Nerwowy rytm jambów symbolizuje zarówno szybki krok maszerujących oddziałów i bezmyślność drylu, jak i gwałtowne uczucia młodego bohatera epizodu, podczas gdy rozlewny rytm amfibrachów wyraża nie tylko powolne posuwanie się konduktu pogrzebowego, lecz także zadumę i skłaniający do refleksji nastrój uczestników tego wydarzenia.

Czy w wypadku ewentualnego tłumaczenia obu tych fragmentów na chiński da się jakoś uratować to, co w języku oryginału autorzy osiągnęli przez dobór metrum? Niewątpliwie w znacznym stopniu trzeba z tego z konieczności zrezygnować, gdyż wersyfikacja chińska nie zna miar wiersza w naszym pojęciu, co jednak nie znaczy, że różnicy w środkach wersyfikacyjnych nic da się w przekładzie wyrazić w żaden sposób. W chińskim istnieje wiele wyrażen pełniących funkcje okoliczników sposobu a jednocześnie mających charakter w znacznej mierze onomatopieczny; umiejętne nagromadzenie takich wyrażen, sugerujących w pierwszym przypadku szybki krok i niespokojne ruchy, a w drugim krok powolny i gesty uroczyste, może ocalić przynajmniej część efektów osiągniętych w tekstach oryginalnych zupełnie innymi środkami (zgodnie z założeniem abstrahujemy od trudności, jakie ewentualny tłumacz mógłby napotkać w praktyce, i przyjmujemy, że zadanie takie jest wykonalne w wyżej określonych granicach).

Powyższe bardzo szkicowe uwagi na temat tłumaczenia w tych wypadkach, gdzie język oryginału i język przekładu posługują się zupełnie odmiennymi efektami formalnymi, wymagają uzupełnienia w postaci próby jakiegoś rozwiązania lub choćby zestawienia rozwiązań stosowanych w praktyce.

W zasadzie spotykamy się z dwoma rozwiązaniami. Pierwsze polega na tym, że środki wersyfikacyjne oryginału zastępuje się przez środki wersyfikacyjne, jakimi rozporządza język przekładu, starając się przy tym, aby w tłumaczeniu środki te w miarę możliwości współdziałały z treścią utworu podobnie, jak to ma miejsce w treści oryginału.

Drugie rozwiązanie opiera się na założeniu, że skoro w przekładzie z przyczyn obiektywnych nie można oddać środków formalnych oryginału, to wobec tego oryginał ten jest sensu stricto nieprzekładalny i tłumaczenie może jedynie oddać oryginał w sposób bardzo niedokładny, jest więc rzeczą obojętną, jakimi środkami posłużymy się w tłumaczeniu, a zatem możemy w ogóle zrezygnować z wersyfikacji i tłumaczyć

prozą. Stąd też przekłady prozą *Pana Tadeusza* na francuski i angielski, *Odysei* na polski itd.

Wydaje się, że pierwszy sposób jest właściwszy: jeżeli oryginał pisany jest wierszem, to język tego oryginału odznacza się bardzo wyraźnym zagęszczeniem efektów formalnych i zachowanie w tłumaczeniu formy wiersza uratuje dla odbiorcy przekładu to wrażenie nasycenia efektami formalnymi, czym wiersz różni się wyraźnie od kunsztownej choćby prozy. W ten sposób u odbiorcy powstanie przynajmniej nikła część tych skojarzeń, jakich doznaje odbiorca oryginału.

Wypowiadając się za pierwszym z dwóch opisanych sposobów tłumaczenia bynajmniej nie dążymy do wprowadzenia jakichś „norm” w tej dziedzinie. Należy sobie zdawać sprawę, że zachowanie choćby dowolnie wybranej formy wiersza w przekładzie napotyka na poważne trudności obiektywne, jeżeli w języku przekładu nie łatwo jest wyrazić tylko formę, lecz i treść tekstu oryginalnego. W takich bowiem wypadkach przekład często z konieczności przechodzi w interpretację lub komentowanie oryginału, staje się rozwleklejszy i tym samym jeszcze trudniej poddaje się wymogom jakiegokolwiek wersyfikacji, choćby mało rygorystycznej. Wówczas też posłużenie się w przekładzie prozą może się okazać uzasadnione w praktyce, choć nie w teorii.

Rozdział III

NIEPRZEKŁADALNOŚĆ

(Część druga)

Jak już wspomniano, drugą grupę wypadków nieprzekładalności (całkowitej lub częściowej) stanowią sytuacje, kiedy w grupie ludzi posługujących się językiem przekładu nie powstają takie skojarzenia, które dany wyraz czy dany zespół wyrazów budzi w grupie ludzi posługujących się językiem oryginału. W niektórych wypadkach może się to w pewnym stopniu łączyć z różnicą takich czy innych środków strukturalnych obu języków i dlatego wypadki te można by zebrać w grupę pośrednią, ponieważ jednak dominuje tu wyraźnie strona znaczeniowa (powstawanie lub niepowstawanie u odbiorców pewnych skojarzeń), wydzielenie takiej grupy pośredniej nie wydaje się konieczne.

Podobnie jak grupa wypadków nieprzekładalności wynikającej z różnic w środkach strukturalnych, grupa druga – niemożność oddania w języku przekładu pewnych pojęć wyrażalnych w języku oryginału, a więc niemożność wywołania u odbiorcy takich samych skojarzeń, jakie powstają u odbiorcy oryginału – daje się podzielić na liczne podgrupy i podpodgrupy. Podobnie też jak i poprzednio zakres omawiania poszczególnych podgrup i podpodgrup oraz ilości przykładów nie będą jednakowe, gdyż niektóre wypadki są zupełnie proste, inne zaś wymagają rozważań i wyjaśnień teoretycznych.

Pierwsza wielka podgrupa to terminy w szerokim sensie „techniczne”. I tu należy uczynić uwagę zasadniczą: bardzo wiele tych „terminów technicznych”, których przykłady znajdziemy poniżej, jest cał-

kowicie nieprzekładalnych, znaczy to, że albo w języku przekładu nie posiadają one żadnego znaczenia (nie budzą u odbiorcy żadnych określonych skojarzeń), albo też są one stopniowo przejmowane przez język przekładu, co najwyżej ulegając pewnym zniekształceniom lub modyfikacjom wynikającym z systemu fonetycznego i/lub ortograficznego języka przekładu.

Takie przejmowanie łączy się ze stopniowym powstawaniem odpowiednich skojarzeń u ludzi posługujących się językiem przekładu, który w danym wypadku staje się raczej językiem asymilacji³⁵.

Całą tę podgrupę „terminów technicznych” można podzielić na wiele kategorii, z których ważniejsze tu wyliczymy.

Zacząć można od nazw zwierząt i roślin, zwłaszcza egzotycznych, przejmowanych przez wiele języków europejskich: *jaguar*, *puma*, *okapi*, *gawjal*, *jak*, *zebu*, *gnu*, *gazela*; *araukaria*, *baobab*, *agawa*, *magnolia* itd. W poszczególnych wypadkach może być, oczywiście, kwestią sporną, czy ze względu na dawność zapożyczenia nie należy go uznać za „przedawnione”, jak na przykład w wypadku słowa *lew*, prawdopodobnie bardzo dawnej pożyczki z semickiego, obecnie już całkowicie zasymilowanej w językach indoeuropejskich. Ponadto zakres takich pożyczek bywa bardzo różny. Jest rzeczą zrozumiałą, że np. *jaguar* i *araukaria* przeszły do wielu języków europejskich, ale już jeśli chodzi o *kozicę* i *szarotkę*, to np. w polskim posiadamy własne terminy, podczas gdy Anglicy posługują się francuskim *chamois* i niemieckim *edelweiss*: nie mając tych okazów u siebie przejęli ich nazwy z tych terenów, gdzie się z nimi zapoznali. W takich wypadkach waha się również i zakres nieprzekładalności, nieraz zważając się do tłumaczenia z pewnego języka na inny. I tak, posługując się powyższymi przekładami, powiemy, że termin *szarotka* jest przekładalny z niemieckiego na polski i na odwrót, lecz nieprzekładalny z niemieckiego na angielski; tu już nie można mówić o relacji odwrotnej – nieprzekładalności z angielskiego na niemiecki – gdyż w angielskim termin ten istnieje tylko jako pożyczka z niemieckiego³⁶.

³⁵ Można by się tu również zastanowić, czy nieprzekładalność nie jest główną przyczyną zapożyczeń z innych języków.

³⁶ Wprowadzenie nazwy botanicznej (w danym przypadku *Leontopodium alpinum* [L.] Cass.) nie rozwiązuje sprawy, jeśli nie chodzi o pracę naukową, gdyż nazwa taka albo nie wywołuje u odbiorcy odpowiednich skojarzeń, albo też – użyta np. w wierszu lirycznym – dałaby efekt jak najbardziej odległy od zamierzonego.

Inną kategorią „terminów technicznych” są określenia pewnych zjawisk geograficznych, jak *tundra*, *tajga*, *szott*, *hamada*, *fiord*, *atol*, *gejzer*, czy meteorologicznych, jak *monsun*, *samum*, *bora*, *sirocco*, *wiatr halny*. Mamy tu do czynienia z pewnymi zjawiskami lokalnymi, posiadającymi miejscowe nazwy, nazwy nieprzekładalne, dające się jedynie albo przejąć, albo „objaśnić własnymi słowami”, z tym że takie objaśnienia wywołują tylko bardzo mgliste pojęcia u odbiorców, którzy nie znają samego zjawiska i wobec tego nie mają odpowiednich skojarzeń z nazwą oryginalną. Oczywiście wspomniana tu „lokalność” tych zjawisk jest bardzo względna: podczas gdy strefa *monsunów* obejmuje olbrzymie połacie globu, to *wiatr halny* występuje na bardzo ograniczonej przestrzeni, jaką jest tzw. Skalne Podhale.

Dalsze kategorie „terminów technicznych” należą już do dziedziny wytworów człowieka. I tu dość znamienity fakt: nazwy narzędzi, a więc nazwy związane z technologią, z procesami dającymi się rozpowszechniać na wielkich przestrzeniach i w znacznej mierze niezależnymi od warunków ściśle lokalnych, wytwarzają się na ogół w poszczególnych językach tak, że nazwa narzędzia *x* w języku *A* ma swoje odpowiedniki w językach *B*, *C*, *D*, *E* itd., a więc jest przekładalna. Z biegiem czasu proces ten objął nowe przyrządy oraz maszyny i ich części. Jeśli chodzi o czasy nowsze, wyłączyć tu trzeba nazwy powstałe od nazwisk wynalazców oraz nazwy opatentowane, marki fabryczne, znaki handlowe itp., gdyż w tych wypadkach mamy do czynienia z imionami własnymi – a więc wyrazami *ex definitione* nieprzetłumaczalnymi – które jako imiona własne rozpowszechniły się tak dalece, że zostały stopniowo włączone do zasobów leksykalnych poszczególnych języków, ewentualnie tracąc w świadomości mówiących charakter imion własnych, co jednak jest już zjawiskiem wtórnym.

Do nieprzekładalnych należą nazwy oznaczające najrozmaitsze miary *sensu largo* lokalne, jak polskie *sążeń*, *wiorsta*, *morga*; angielskie *yard*, *acre*, *bushel*; chińskie *mou*, *li* itd. (podajemy tylko parę przykładów; z kilku bardziej znanych języków można by wybrać listę zawierającą łącznie zapewne kilkaset pozycji, jeśli by uwzględnić miary długości, powierzchni, wagi i objętości; zestawienie takie jednak wydaje się zbędne). Wyłączyć tu trzeba terminy należące do systemu metrycznego, gdyż powstały one w sposób sztuczny i w tym znaczeniu nie należą do języków naturalnych, do których się ograniczamy. Oczywiście, te lokalne miary nie są czymś niepojmowalnym, dają się one łatwo przeliczać albo na inne miary lokalne, albo na miary należące do syste-

mu metrycznego, lecz *nazwy* tych miar lokalnych są nieprzekładalne i dają się najwyżej objaśnić przy pomocy takiego czy innego przeliczenia. Należy tu pamiętać, że ta nieprzekładalność dotyczy także i tych wypadków, gdy mamy do czynienia z wyrazami zapożyczonymi lub o wspólnej etymologii. Mimo wspólnego pochodzenia angielski *pound* i polski *funt* nie są przekładalne, gdyż łączą się z nimi odmienne skojarzenia: funt angielski (*pound*) jest od polskiego cięższy (w przeliczeniu na jednostki systemu metrycznego) o około 50 gramów, a więc i skojarzenia z tymi dwoma wyrazami są odmienne u Anglików i u Polaków. Dużo bardziej jaskrawym przykładem będzie angielska *mile* i polska *mila*: pomimo wspólnej etymologii *mila* oznacza odległość parokrotnie większą niż *mile* – tu całkowita odmiennosc skojarzeń nie może już budzić żadnych wątpliwości.

Jeszcze jeden przykład dla podkreślenia nieprzekładalności nazw lokalnych miar. Istnieje chińska miara odległości *li*, wynosząca około 0,5 km. Jeżeli tłumaczymy z chińskiego na polski lub na angielski i oddamy *li* przez *mila* lub *mile*, to wywołamy u odbiorców niewłaściwe skojarzenia, a w najlepszym razie u odbiorców z pewnym doświadczeniem wątpliwości, czy istotnie chodzi tu o określenie takiej samej odległości, jaką określa *mila* lub *mile*. Oddanie *li* przez *mila chińska* lub odpowiednio przez *Chinese mile* wprawdzie chroni zapewne odbiorców przed skojarzeniami niewłaściwymi, ale zarazem nie pozwala im na wytworzenie sobie jakichkolwiek bliższych skojarzeń, gdyż sygnalizuje tylko, że mają oni do czynienia z jakąś miarą odległości używaną w Chinach. W praktyce powstaje konieczność zachowania w przekładzie terminu *li* z odpowiednim objaśnieniem w nawiasie lub w przypisie, ale to tylko potwierdza, że termin ten jest nieprzekładalny.

Istnieje w tej dziedzinie jeden wyjątek, pozorny zresztą raczej niż faktyczny. Jeżeli nazwa takiej „lokalnej” miary użyta jest razem z liczebnikiem określającym ilość bardzo dużą (albo też, zależnie od rodzaju miary, bardzo małą), to często, zwłaszcza w poezji lub prozie literackiej, w przekładzie możemy zachować ten liczebnik, a nazwę „przetłumaczyć” oddając ją przez jakiś bardzo niedokładny odpowiednik istniejący w języku, na jaki przekładamy. Powracając do naszego przykładu: *ts'ien li* „tysiąc(e) *li*” (w chińskim liczba gramatyczna: „tysiąc” czy „tysiące” nie da się formalnie rozstrzygnąć) możemy przełożyć jako *tysiąc(e) mil*, dostosowując liczbę gramatyczną wyrazu „tysiąc” do potrzeb rytmu itp. Wyjątek ten jest jednak, jak wspomniano, pozorny, gdyż u odbiorców oryginału *ts'ien li* w pewnych wypadkach

nie ma wywoływać skojarzenia ściśle określonego dystansu, a jedynie wrażenie wielkiej odległości, i w tych właśnie wypadkach tłumaczenie tysiąc(e) mil jest właściwe, ponieważ u odbiorców przekładu również wywołuje skojarzenie z wielką odległością. W wypadkach tych jednak nazwy pewnych miar i w oryginale, i w przekładzie zostały użyte metaforycznie i dlatego wyjątek ten jest pozorny: przekładamy nie nazwę jakiejś lokalnej miary, lecz metaforę, a fakt, iż w metaforze tej występuje nazwa miary, jest okolicznością drugorzędą.

Podobną kategorią są nazwy jednostek monetarnych, takich jak *złoty, dukat, floren, rubel, frank, marka, piastr, reis, talar, dolar, gwinea, fenig, szyling, pens, sou, grosz, kopiejka, denar, lira, jen, juan* itd. Wartość danej jednostki można wyrazić w jakiejś innej jednostce (chyba że brak nam danych historycznych, jeśli chodzi o monety dawniejsze), ale tłumaczenie w grę nie wchodzi, o czym świadczy powszechny zwyczaj zachowywania we własnym języku przejętych nazw obcych jednostek monetarnych (ewentualnie ze wspomnianymi wyżej adaptacjami fonetycznymi i ortograficznymi). Kategoria ta jest zresztą bardzo bliska poprzedniej, na co wskazują takie nazwy jednostek monetarnych, jak *funt*, ale wyodrębnienie ich wydaje się wskazane, gdyż nazwy jednostek monetarnych oznaczają z reguły (pominawszy takie wyjątki, jak *gwinea*) nie tylko pewne miary wartości, lecz także i pewne przedmioty materialne, przeważnie posiadające na sobie różne symbole, rysunki, napisy etc., a więc mogące być punktem wyjścia do dalszych skojarzeń.

Następne kategorie należą do dziedziny wytworów cywilizacji materialnej. Nie chodzi tu oczywiście o szczegółowe, a tym bardziej wyczerpujące wyliczenie, zadowolimy się pewną ilością przykładów.

Jedną z tych kategorii są nazwy budowli lub ich części (włącznie z tym, co może wchodzić w zakres urządzenia mieszkań ludzkich lub innych pomieszczeń). Jako przykłady podać można budowle o charakterze sakralnym, jak sumeryjski *ziggurat*, meksykański *teokalli* czy też powszechnie znany *minaret*; pomieszczenia mieszkalne specjalnych typów (lub ich części), jak starogrecki *megaron* lub rzymskie *atrium*; konstrukcje tak swoiście dostosowane do warunków lokalnych, jak eskimoski *iglu* albo też urządzenia należące już raczej do umeblowania, lecz związane z typem budownictwa, jak chiński *k'ang* (rodzaj łoża z cegieł dającego się ogrzewać od dołu a pełniącego funkcje podobne do naszego przypiecka); należą tu również specjalne rodzaje pomieszczeń nie będących budowlami *sensu stricto*, jak *jurta* czy *wigwam*.

Są to wszystko terminy nieprzekładalne. O ich nieprzekładalności świadczy fakt, że są one przejmowane przez inne języki; dzieje się tak dlatego, że w tych językach przejmujących nie ma odpowiedników terminów, o których mowa, nie można więc, zgodnie z naszą definicją, dokonać operacji tłumaczenia. Można co najwyżej sformułować w języku przejmującym opis desygnatu tego czy innego terminu, ale opis taki u odbiorców posługujących się językiem przejmującym nie wywoła skojarzeń takich, jakie termin oryginalny wywołuje u ludzi mówiących językiem, w którym termin ten powstał; skojarzenia te będą w najlepszym razie uboższe i mało sprecyzowane.

Inna kategoria terminów technicznych to nazwy środków lokomocji, bądź to pojazdów (np. *kabriolet, kibitka, arba*), bądź to statków (np. *felukka, kanu, katamaran*) czy wreszcie urządzeń tak specjalnych, jak *narty*. Ten ostatni przykład jest o tyle interesujący, że skandynawski termin *ski* został przejęty przez niemal wszystkie języki europejskie, w polskim natomiast posiadamy odpowiednik *narty*, w związku z czym twierdzenie o nieprzekładalności terminu *ski* nie odnosi się do polskiego. Jest to więc przykład nieprzekładalności ograniczonej do stosunków pomiędzy pewnymi określonymi językami.

Wśród innych kategorii terminów technicznych z dziedziny kultury materialnej można wymienić nazwy broni, zwłaszcza broni niepalnej oraz niektórych typów wczesnej broni palnej. Tu też zasadniczą rolę odgrywa lokalny charakter danych rodzajów broni, które obecnie można – na tle rozwoju techniki – zaliczyć albo do historii uzbrojenia, albo do folkloru. Jako przykłady wymienimy *scimitar, jatagan, kris, dzirynt, tomahawk, shillelagh, ciupagę, assagaję, bumerang, sarissę, pelkę, pilum* itd. (Przy sposobności można wspomnieć, że terminy takie istnieją również w zakresie rodzajów uzbrojenia i ekwipunku pewnych rodzajów żołnierzy, co daje nazwy takie, jak *husarz, ułan, szwoleżer, rajtar, żuaw, spahis, kirasjer* itd.).

Dalszymi kategoriami nieprzekładalnych terminów z zakresu kultury materialnej są:

Nazwy wielu części lub elementów stroju, jak np. *cuha, parzenice, kilt* (spódniczka noszona przez górali szkockich), *sporrán* (torba używana przez górali szkockich), *sari* (strój kobiet hinduskich) itd.

Nazwy wielu instrumentów muzycznych, zwłaszcza ludowych.

Nazwy rozmaitych napojów i potraw, od najprostszych, jak *żetyca* czy *kumys*, do najbardziej złożonych, jak *kisiel, knedle, bliny, kołduny, pascha, kutia, pudding, makaron, curry* itd.

Nazwy niektórych gier, przejmowane z języka do języka, a więc tym samym uznane za nieprzekładalne (przykładowo można wymienić *tenis, hokej, pelotę*).

Nazwy przedmiotów związanych z kultem religijnym.

Inna grupa to nazwy związane ze stosunkami społecznymi, a więc:

Nazwy niektórych stopni i form pokrewieństwa (terminy te w języku przekładu zwykle wymagają oddania przez wyrażenie wielowyrzowe, co w każdym razie brzmi rozwlekłe i często daje efekt czegoś obcego, podczas gdy dla odbiorców oryginału termin tam użyty jest czymś jak najbardziej swojskim).

Nazwy niektórych grup społecznych, np. polskie *szlachta*, nie mające odpowiednika w językach zachodnio-europejskich³⁷, *yeomen* itd.

Nazwy urzędów: *hetman, wojski, konsul, pretor, shogun*; wiele urzędów w hierarchii kościołów chrześcijańskich, wiele tytułów chińskich, itp.; trzeba tu pamiętać, że dokładny zakres kompetencji posiadacza urzędu prawie nigdy nie pokrywa się nawet tam, gdzie ogólne funkcje mogą być bardzo zbliżone, i że w pewnych wypadkach właśnie ta różnica może odgrywać istotną rolę; pomijamy tu już dodatkową komplikację, że pewne nazwy urzędów nieraz wielokrotnie całkowicie zmieniały znaczenie, jak np. *konsul*.

Nazwy instytucji prawnych, politycznych, organizacyjno-administracyjnych (np. bardzo specyficzna instytucja, jaką jest *conclave*).

Wielką dziedzinę rozmaitych kategorii terminów technicznych stanowią obrzędy w szerokim sensie tego słowa. Podobnie jak nazwy pewnych przedmiotów mają one charakter lokalny i wywołują określone skojarzenia tylko u tych osób, które się z nimi bezpośrednio zetknęły. Wiele przykładów można znaleźć w pracach etnograficznych.

Charakterystyczne są nazwy tańców, z reguły nieprzekładalne i przejmowane przez inne języki (oczywiście z zastrzeżeniem modyfikacji fonetycznych i ortograficznych). Rzecz nie wymaga dłuższych wyjaśnień: każdy taniec polega na dość dokładnie ustalonej sekwencji określonych ruchów, wykonywanych z określoną szybkością; tak więc każdy taniec stanowi dość złożone zjawisko i jego nazwa, nadana mu

³⁷ *The Encyclopedia Britannica* w artykule o Polsce zachowuje ten termin w jego polskiej formie.

w środowisku, w którym powstał, jest właściwie umownym skrótem wywołującym odpowiednie skojarzenia tylko u osób należących do tego środowiska. Dlatego też nazwy te są nieprzetłumaczalne, a przejęte przez inny język pozostają niezrozumiałe dla ludzi mówiących tym językiem w tym sensie, że nie budzą u tych ludzi bliżej określonych skojarzeń (poza tym, np. że chodzi o jakiś taniec, ale wtedy łatwo z taką nazwą wiązać wyobrażenia o tańcu takim, jaki jest uprawiany we własnym środowisku, co może być najzupełniej błędne). Sytuacja zmienia się wówczas, gdy środowisko, które przejęło nazwę, zapoznało się z samym tańcem – nazwa z reguły pozostaje nie tłumaczona, ale zaczyna budzić określone skojarzenia. Sprawa wygląda różnie w poszczególnych wypadkach. Nieraz nazwa bywa przejęta, ale sam taniec pozostaje mało znany i skojarzenia wywoływane przez jego nazwę są bardzo mgliste; dzieje się tak często, jeśli chodzi o tańce stare lub egzotyczne.

Przykładów można podać sporo: *oberek, kujawiak, mazur, trojak, trepak, kozak, pawana, gawot, menuet, kadryl, polonez; walc, lambeth-walk, foxtrot; tango, rumba, samba* etc.

I tu lokalny charakter tańca decyduje o nieprzekładalności nazwy. Termin *spust stali*, podobnie jak nazwa takiego czy innego tańca, również oznacza ustaloną sekwencję określonych ruchów, ale czynność ta nie ma charakteru lokalnego, wykonywana jest w taki sam lub bardzo podobny sposób w różnych środowiskach językowych, wywołuje w tych środowiskach mniej więcej takie same skojarzenia i w konsekwencji jest przekładalna. Oczywiście, jeśli weźmiemy pod uwagę środowisko językowe, które nie zna metali lub nie zna nowoczesnej techniki metalurgicznej, to w takim środowisku nie powstaną żadne skojarzenia i termin musimy uznać za nieprzekładalny na język tegoż środowiska. W każdym jednak razie możemy stwierdzić, że zasięg przekładalności takiego terminu, jak *spust stali* jest niepomiaralnie większy niż np. nazw tańców. W praktyce różnica ta jest bardzo istotna, gdyż olbrzymia większość przekładów dokonywana jest pomiędzy językami dość wykształconymi i bogatymi, używanymi przez środowiska stojące na stosunkowo wysokim poziomie cywilizacji. W przekładach tych zasięg przekładalności poszczególnych terminów jest stosunkowo szeroki, klasa terminów przekładalnych nie ogranicza się do terminów oznaczających pewne wyżej wyliczone pojęcia najprostsze, i właśnie dlatego różnica pomiędzy terminami przekładalnymi a nieprzekładalnymi rzuca się wyraźnie w oczy, a przy tym bywa powodem poważnych trudności.

Do dalszych kategorii zaliczyć można obrzędy oraz wierzenia. Co się tyczy obrzędów, to niewątpliwie w niektórych wypadkach – a mianowicie w wypadkach języków ludów o podobnych kulturach – pewne nazwy mogą być przekładalne w jakiejś grupie języków, natomiast nieprzekładalne na języki nie należące do tej grupy. Istnieją jednak wypadki terminów chyba całkowicie nieprzekładalnych, jak *sati* (pisane również z angielska *sutee*) – indyjski zwyczaj palenia wdów. Czasami mogą się zdarzać wypadki dość szczególne: francuski termin *couvade*, oznaczający obyczaj (praktykowany m.in. przez Basków) udawania bólów porodowych przez męża w czasie, gdy rodzi jego żona, jest nieprzekładalny na języki europejskie (zapewne z wyjątkiem baskijskiego), lecz przekładalny na języki tych pozaeuropejskich ludów prymitywnych, które także znają ten obyczaj.

Z zakresu wierzeń można przytoczyć dwa przykłady, dziś już niemal klasyczne, a mianowicie *totem* i *tabu*. Ich przejęcie przez wiele języków jest najlepszym dowodem ich nieprzekładalności.

Sprawa ma się podobnie z wieloma terminami filozoficznymi. Przykładowo można podać *logos* (tłumaczenia w rodzaju *verbum* lub *słowo* nie są w naszym rozumieniu tłumaczeniami, gdyż ograniczają się do pewnych czysto werbalnych operacji, których wynik nie wywołuje u odbiorców tych skojarzeń, jakie termin tłumaczony wywołuje u odbiorców oryginału), rozmaite filozoficzne terminy indyjskie (*budda, mahayana, nirwana*), chińskie (*tao, in, jang*) etc. Nieprzekładalność tych terminów została już dawno uznana, co znajduje wyraz w tym, że prace fachowe dotyczące dziejów filozofii indyjskiej, chińskiej etc. z reguły rezygnują z tłumaczenia tychże terminów i zachowują je w formie oryginalnej lub w transkrypcji.

Powyższe szkieletowe wyliczenie kategorii terminów nieprzekładalnych nie jest oczywiście wyczerpujące. Jego rola polega na czym innym: dochodzimy tu do zagadnienia zasięgu przekładalności – i do wniosków dość pesymistycznych: gdyby wziąć pod uwagę wszystkie istniejące języki, to zapewne przekładalność należałoby ograniczyć do najprostszych zjawisk przyrody, doznań fizjologicznych i czynności. Wystarczy się zastanowić, jak mały zakres wspólnych pojęć mają np. Eskimosi, Indianie z puszczy nad górną Amazonką, wyspiarze z Pacyfiku, Tybetańczycy, Tuaregowie: różne środowiska geograficzne z różnicami klimatu, flory i fauny; w konsekwencji całkowicie odmienny tryb życia i odmienna kultura materialna, odmiennie obyczaje, wierzenia jakoś uwarunkowane przez tryb życia. Wszystko to znajduje odbicie w

języku. Są to oczywiście przypadki krańcowe, w praktyce bez znaczenia, lecz rzucające dużo światła na teoretyczną stronę zagadnienia.

*

*

*

Odrębny rozdział problemu nieprzekładalności stanowią aluzje. Z punktu widzenia zamierzeń autora polegają one na rezygnacji z oryginalności własnego sformułowania na rzecz odwołania się do spraw znanych odbiorcom już dawniej i wywołujących u nich określone skojarzenia. Za cenę wyrzeczenia się oryginalności autor zyskuje pewność lub wielkie prawdopodobieństwo wywołania u odbiorców skojarzeń już dobrze utworzonych. Odpada więc ryzyko tego, że nowe, własne i oryginalne sformułowanie mogłoby ewentualnie wywołać jakieś skojarzenia niezamierzone przez autora.

Można spotkać się z opinią, że obfite posługiwanie się aluzjami dowodzi elitarnego charakteru twórczości, a więc w gruncie rzeczy pewnej postawy zachowawczej, jeśli nie reakcyjnej. Twierdzenie takie może być słuszne w wielu wypadkach, np. jeśli chodzi o pisarzy renesansowych lub dawnych autorów chińskich, którzy niewątpliwie adresowali swoje utwory dla „wybranych”, ograniczając w ten sposób ich zasięg – świadomie lub nie – do pewnej elity. Z drugiej jednak strony uogólnienie tego twierdzenia prowadziłoby do absurdu: musielibyśmy zarzucić elitaryzm np. Leonowi Kruczkowskiemu za jego klasycznie aluzyjny tytuł *Kordian i Cham*, a także wielu pisarzom rewolucyjnym, którzy uciekali się do aluzji z konieczności, by uniknąć interwencji cenzury. Posługiwanie się aluzjami nie może więc być uznane mechanicznie za kryterium elitaryzmu. Rolę aluzji w utworach można rozpatrywać jedynie na tle ogólnej intencji autora. Należy ponadto zauważyć, że utwór choćby najbardziej popularny, przeznaczony dla jak najszerszego kręgu odbiorców wymaga jednak od nich zawsze jakiegoś minimum erudycji – w sensie znajomości pewnej dziedziny faktów, a nie w sensie, w jakim tego słowa używa się potocznie.

Dość często wprowadza się podział aluzji na historyczne i literackie. Pierwsze mają odwoływać się do faktów historycznych, drugie zaś do sformułowań zawartych w utworach literackich. Klasyfikacja taka, istotnie dość wygodna w praktyce, nie jest ścisła. Przede wszystkim sformułowanie już istniejące w dawniejszym utworze literackim, sformułowanie, do którego odnosi się dana aluzja literacka, może z

kolei mieć za temat jakiś fakt historyczny i w takim wypadku aluzja ta jest jednocześnie literacka i historyczna. Po drugie, klasyfikacja ta nie wyczerpuje wszystkich możliwości. Spotykamy się z aluzjami do innych dziedzin sztuki niż literatura (plastyka, muzyka), a także do wierzeń, poglądów, przesądów itd.; należy tu wymienić całą symbolikę z rodzaju: orzeł – Polska, lilia – niewinność itd. Nie są to z reguły aluzje historyczne, a w wielu wypadkach trudno je uznać za literackie, bo takie wierzenia czy przesady albo nie znajdują sformułowania w utworach literackich, albo przynajmniej sformułowania takie wyprzedzają.

Dlatego też lepiej jest przyjąć dla tych wszystkich aluzji określenie „aluzje erudycyjne” jako pewien termin umowny. Podobnie jak poprzednio przez erudycję rozumiemy znajomość pewnych faktów. Przyjęcie wspólnego terminu nie oznacza jednak rezygnacji z podziału aluzji (tj. aluzji erudycyjnych, gdyż o innych będzie mowa później) na pewne kategorie. Podział taki jest możliwy i celowy. W naszym wypadku dokonamy go z punktu widzenia problemu przekładalności.

Każda aluzja wywołuje zamierzone przez autora skojarzenia tylko u tych odbiorców, którzy ją rozumieją. Oczywiście w wypadkach przekładów prawdopodobieństwo niezrozumienia aluzji ogromnie wzrasta, gdyż odbiorcy przekładu mają znacznie mniej „erudycji” niezbędnej do zrozumienia oryginału. Dlatego też tłumacz na ogół może aluzje odbiorcom przekładu wyjaśnić, ale nie może jej – w naszym rozumieniu – przetłumaczyć, gdyż jego sformułowanie nie będzie odpowiednikiem sformułowania oryginalnego, nie wywoła u odbiorców przekładu tych skojarzeń, jakie powstają u odbiorców oryginału. Objasnienia można wprowadzić różnymi sposobami. Najprymitywniejszym będzie przypis, zręczniejszym zaś będzie wplecenie jakiegoś króciutkiego komentarza w sam tekst przekładu³⁸.

³⁸ Por. uwagi Jarosława Iwaszkiewicza we wstępie do przekładu *Pieśni powszechnej* Pabla Nerudy, Warszawa 1954, zwłaszcza s. 7.

Należy tu zresztą podkreślić, że – jak już wspomniano – aluzja spełnia swe zadania, gdy jest zrozumiana przez odbiorcę. Otóż niezrozumienie aluzji przez odbiorcę bynajmniej nie musi wynikać z tego, że odbiorca posługuje się innym językiem ojczystym i wychowany jest w innych tradycjach kulturowych, i dlatego czytając przekład nie rozumie danej aluzji. To nie jest kwestia wyłącznie przekładu: odbiorca ten może znać nawet bardzo dobrze język oryginału i czytać utwór w oryginale, a mimo to aluzji tej też nie rozumie, ponieważ nie posiada dostatecznej „erudycji” – nie zna pewnych faktów. Co więcej, jakaś aluzja może być niezrozumiała nawet dla odbiorcy, dla którego język oryginału jest językiem ojczystym i który w zasadzie wychował się w kręgu

Nie dotyczy to w zasadzie tych wypadków, gdy aluzja odnosi się do spraw wspólnych tradycjom kulturowym społeczeństwa, w którym powstał oryginał, i społeczeństwa, w którym powstał przekład. Dla kręgu europejskiego można by tu przytoczyć aluzje dotyczące ważnych i powszechnie znanych wydarzeń z dziejów Europy, tradycji chrześci-

kulturowym, w jakim powstał oryginał. Wystarczy, by aluzja taka była bardzo wymyślona lub dotyczyła spraw bardzo lokalnych. Oto przykład:

W *Bukietach z jarzyn* (parodii *Kwiatów polskich* J. Tuwima) pióra A. M. Swinarskiego (Parodie, s. 85-86) znajduje się następujący passus:

Od razu poznał. Tak, to ona.
Że humorystka, o tym wiedział,
Bo kelner z „Adrii” mu powiedział,
Że nikt jej w żartach nie dorówna
I że jest z domu Kossakówna.
Mistrz na nią patrzeć jął z ukossa,
Bo przecież wie się, kim jest Kossak.
I zaraz mu się przypomina
Sławny obrazek: „Berezyna”.
I zalatuje mu pod nosem
Niby to stajnię i paletą,
Tatarskim zalatuje sosem:
Koniki... konie... Kanaletto...

(Dla wyjaśnienia trzeba dodać, że bohater *Bukietów z jarzyn*, którego wrażenia i skojarzenia są tu opisane, jest kucharzem z Warszawy.) Odbiorca polski, nawet zorientowany w historii naszego malarstwa, nie rozumie, dlaczego nagle, ni stąd ni zowąd wspomniany jest Canaletto. (U Swinarskiego obce imiona własne podane są w pisowni spolszczonej.) Wprawdzie to malarz jak i Kossak, ale pojawia się tu nieoczekiwanie. Żart autora jest zrozumiały tylko dla tych, którzy wiedzą, że „Canaletto” oznacza tutaj nazwę restauracji, otworzonej w Warszawie w r. 1945, przy czym w pewnym okresie lokal ten specjalizował się w daniach z mięsa końskiego. Gdy się zna szczegóły, to bieg skojarzeń bohatera jest jasny: Kossak, słynny jako malarz koni, wywołuje zawodowe asocjacje z lokalem znanym z dań z koniny, a nazwanym imieniem innego malarza – co stwarza dwutorowość skojarzeń. Można jednak mieszkać w Warszawie w latach powojennych i nie znać tego lokalu, a wówczas cała aluzja pozostaje najzupełniej niezrozumiała. (Może się również zdarzyć, że skojarzenia odbiorcy idą dalej, niż to było zamierzone: dla autora tej pracy „koniki” w ostatnim zacytowanych wierszy wywołały skojarzenie z „konikami” jako nielegalnymi handlarzami złotem i obcymi walutami, którzy również w pewnym okresie często zaglądali do tego lokalu. A. M. Swinarski w prywatnej rozmowie wyjaśnił, że nie chodziło mu o takie skojarzenie, „koniki” było dla niego zwykłym zdrobnieniem. Zwrócił on natomiast uwagę na anachronizm polegający na tym, że Tuwim, którego utwór jest tu parodiowany, nie mógł w czasie wojny pisać o lokalu, który został otwarty dopiero po wojnie.)

Podobnie jednak, jak przyjęliśmy pojęcie „tłumacza doskonałego”, możemy tu również przyjąć pojęcie „odbiorcy doskonałego”, rozumiejącego wszystkie aluzje – lecz z dość istotnym zastrzeżeniem: sformułowane w jego własnym języku i związane z tradycjami kulturowymi jego grupy językowej. Bez tego zastrzeżenia można by uznać, że „odbiorca doskonały” nie potrzebuje w ogóle pomocy tłumacza.

jańskiej lub mitologii grecko-rzymskiej, a dla kręgu dalekowschodniego – aluzje do ważnych wypadków z historii tamtego obszaru, lub do mitologii buddyjskiej. Oczywiście zasięg zrozumiałości danej aluzji należy rozpatrywać indywidualnie; pewne aluzje mogą być zrozumiałe we wszystkich środowiskach językowych danego kręgu kulturowego, inne zaś mogą być obce w środowiskach językowych stanowiących peryferie tego kręgu (niekoniecznie z geograficznego punktu widzenia). Rzecz wymagałaby szczegółowego zbadania, ale można sądzić, że aluzje np. do mitologii klasycznej są chyba w większym stopniu rozumiane w Anglii, Francji, Polsce czy Włoszech niż np. w Islandii czy w Albanii – mimo że o tej ostatniej, jako sąsiadce Włoch, trudno mówić, iż leży na geograficznych peryferiach europejskiego kręgu kulturowego.

Dalsze ograniczenie zasięgu przekładalności aluzji wiąże się oczywiście ze zróżnicowaniem danego środowiska językowego z punktu widzenia „erudycji”, ale – jak się to wyjaśniło powyżej – sprawa ta wykracza poza problem przekładalności.

Tak więc wyodrębniliśmy pewną grupę aluzji w zasadzie całkowicie przekładalnych z zastrzeżeniem, iż zasięg tej pełnej przekładalności ogranicza się do języków środowisk należących do jednego kręgu kulturowego. Zasięg ten trzeba zresztą ustalić w każdym konkretnym przypadku, gdyż kręgi wspólnych tradycji kulturowych zachodzą na siebie i przecinają się w najrozmaitszy sposób. Zależnie od zagadnienia można mówić o kręgu obejmującym Europę Zachodnią i Środkową, o kręgu skandynawskim, o kręgu iberyjskim (Hiszpania, Portugalia i Ameryka Łacińska), o kręgu obejmującym Europę Południową i Wschodnią, Afrykę Północną oraz Bliski Wschód, o kręgu krajów demokracji ludowej itd.

Z punktu widzenia teorii (a także i techniki) przekładu grupa ta nie nastręcza trudności, gdyż aluzje należące do tej grupy są całkowicie przekładalne. Również za całkowicie przekładalne możemy uznać auto-aluzje, to jest aluzje do innych miejsc tego samego utworu, np. w *Kwiatach polskich* aluzje w *Epilogu* do pierwszych wersów tego poematu.

Przyjmując stopień przekładalności za kryterium podziału przechodzimy do grupy następnej – do aluzji częściowo przekładalnych.

Zaliczają się do niej te aluzje, których niezrozumienie nie pociąga za sobą niezrozumiałości tekstu. Możliwe są tu rozmaite wypadki, niektóre z nich zilustrowane poniższymi przykładami.

Na samym wstępie *Kwiatów Polskich* czytamy:

Bukiety wiejskie, jak wiadomo,
Wiązane były wzwyż i stromo.
W barwach podobne do ołtarza,
Kształt serca miały lub wachlarza,
Albo palety. Z niej to, kwietnej,
Kolory brał bohomas świetny,
Rafael Rawy i Studzianny,
Kiedy ku czci Najświętszej Panny
Malował uczuć swoich kwiaty
W tonacji bladej, choć pstrokatej³⁹.

Spotykamy się tutaj z wyrażeniem „uczuć kwiaty”, stanowiącym aluzję do znanego fragmentu *Konrada Wallenroda*:

O, wieści gminna, ty arko przymierza
Między dawnymi a młodszymi laty:
W tobie lud składa broń swego rycerza,
Swych myśli przedzę i swych uczuć kwiaty⁴⁰.

Wyrażenie to dla Mickiewicza było zapewne jeszcze tylko metaforą, u Tuwima, pozostając metaforą, jest już aluzją. Czytelnik przekładu (a także i czytelnik oryginału nie znający danego miejsca z *Konrada Wallenroda*) nie zorientuje się wprawdzie, że ma do czynienia z aluzją, ale zrozumie metaforę, wytwarzając sobie przynajmniej część skojarzeń, które autor zamierzał wywołać u odbiorców. W danym wypadku zresztą skojarzenia wywołane przez aluzję są trudno uchwytne. Można chyba z dużym prawdopodobieństwem przyjąć, że Tuwimowi chodziło o wywołanie wrażenia stylu „aluzyjnego”, właściwego całemu utworowi, o zasygnalizowanie, że styl ten będzie znamieny dla poematu. O dwa wiersze wcześniej mamy przecież aluzyjne użycie imienia własnego „Rafael”.

³⁹ J. Tuwim, *Kwiaty polskie*, s. 7.

⁴⁰ A. Mickiewicz, *Konrad Wallenrod*, cz. IV, w. 177-180.

Inny przykład z tego samego utworu. W *Epilogu* mamy czterowiersz:

Wierszu mój, w klęsce, w bólu wszczęty,
Wężysko zamorskiego chowu.
Z kwiatów-żeś powstał, pstry i kręty,
I w kwiaty się obrócisz znowu⁴¹,

w którym zwrot „z kwiatów-żeś powstał... i w kwiaty się obrócisz znowu” jest aluzyjną parafrazą liturgicznej formuły katolickiej „z prochuś powstał i w proch się obrócisz” (co jest tłumaczeniem łacińskiego *pulvis es et in pulverem reverteris*). I ta aluzja jest częściowo przekładalna, gdyż odbiorca przekładu, nawet nie orientując się, że chodzi tu o aluzję, dorobi sobie do tego zwrotu sensowną interpretację tego zwrotu: skojarzy go z tym, że zaczynają się i kończą uwagami na temat kwiatów. Niewątpliwie skojarzenia odbiorcy rozumiejącego aluzję będą bogatsze, lecz w każdym razie musimy aluzję uznać za przynajmniej częściowo przekładalną.

Do stosunkowo rzadkich wypadków należą aluzje, które niejako same się tłumaczą, jak poniższa:

Wracam do willi. A po drodze
Był sad. B Y Ł S A D. Zauważ plagiat,
Dwusłowy wprawdzie, lecz bezsporny.
Lecz jakaż poetycka magia
Ten fakt wczaruje w nowe formy,
Oryginalne, własne? Rad bym,
Ale nie będę usiłował
Dwu słów ubierać w nowe słowa⁴²,

gdzie słowa: „zauważ plagiat” wskazują, że odnośny *passus* zawiera jakieś zapożyczenie z innego utworu (w tym wypadku słowa, o które chodzi, zaznaczone są specjalnym drukiem), a więc pozwalają odbiorcy zrozumieć chociaż to, że ma do czynienia z aluzją. I tego rodzaju aluzje możemy uznać za częściowo przekładalne. (Jak o tym była

⁴¹ J. Tuwim, *Kwiaty polskie*, s. 253.

⁴² Tamże, s. 36.

mowa na wstępie, interpretujemy przekładalność jako przekładalność teoretyczną, jako brak teoretycznych przeszkód uniemożliwiających dokonanie przekładu. Abstrahujemy przy tym od trudności technicznych, jakimi przy tłumaczeniu np. powyższych fragmentów z *Kwiatów polskich* są trudności stworzenia w języku przekładu odpowiedników, które oddawałyby i treść, i aluzje w tym stopniu, w jakim to jest możliwe w omawianych wypadkach, oraz odznaczały się cechami dobrego wiersza z punktu widzenia wymogów języka przekładu. Tymi praktycznymi trudnościami nie zajmujemy się, stwierdzamy jedynie, że z teoretycznego punktu widzenia istnieje możliwość dokonania przekładu spełniającego te wszystkie warunki, łącznie z oddaniem aluzji oryginału w tych granicach, w jakich uznajemy ją za przekładalną).

Należy jednak zauważyć, że czasami także i te aluzje, które należą – przynajmniej na pozór – do częściowo przekładalnych, mogą kryć w sobie dość zasadnicze trudności natury teoretycznej. Weźmy na przykład taki fragment:

Dzień był trzydziesty listopada
A rok – o roku ów! – przypadał
Tysiąc dziewięćset osiemnasty⁴³.

Sprawa na pierwszy rzut oka wydaje się prosta: aluzyjną apostrofę *o roku ów* traktujemy jako zwykłą apostrofę najzupełniej zrozumiałą dla odbiorcy przekładu, a rezygnujemy z zaznaczenia tego, że jest ona jednocześnie aluzją. Ale tu właśnie wynika trudność, ponieważ odbiorcy przekładu, nieświadomemu aluzji, apostrofa ta wyda się zapewne naiwna, banalna lub patetyczna (te niepochlebne epitety można zresztą mnożyć), czyli że u odbiorcy powstaną pewne skojarzenia, jakich autor według wszelkiego prawdopodobieństwa nie chciał wywołać. Tylko zdawanie sobie sprawy z tego, że mamy do czynienia z aluzją do utworu powszechnie uznawanego za polską epopeję narodową, zabezpiecza przed tymi nie zamierzonymi przez autora skojarzeniami i, przeciwnie, potęguje ogólnie wrażenie aluzyjnego charakteru *Kwiatów polskich*. A więc wbrew całej swojej prostocie aluzja, o której mowa, jest wprawdzie częściowo przekładalna, lecz w stopniu mniejszym niż poprzednio cytowane.

⁴³ Tamże, s. 214.

Do trzeciej grupy zaliczymy aluzje nieprzekładalne, to jest takie, które ani nie są zrozumiałe dla odbiorcy przekładu jako dotyczące pojęć jemu znanych (przekładalne), ani nie wywołują u niego choćby części skojarzeń zamierzonych przez autora (częściowo przekładalne). Aluzje nieprzekładalne, jeśli je tłumaczyć „dosłownie”, wywołują u odbiorcy przekładu wrażenie czegoś niezrozumiałego, wrażenie jakiegoś zaskoczenia. Jeśli odbiorca ów jest doświadczony, może się domyślić, że ma do czynienia z jakąś aluzją, ale nic ponadto.

Aluzje nieprzekładalne można – jak wspomniano – tylko objaśnić. Czasami uda się to osiągnąć przez wplecenie do tekstu dyskretnego komentarza, kiedy indziej niezbędny jest przypis, czasami zaś nawet przypisem nie łatwo jest rozwiązać sprawę.

Oczywiście, skoro pewne aluzje uznajemy za (całkowicie) nieprzekładalne, to nie może być mowy o jakimś ich zróżnicowaniu według stopnia trudności oddania w przekładzie. Można jednak szeregować je według stopnia trudności objaśnienia i kilka takich przykładów podamy niżej. Wykracza to wprawdzie poza granice problemu nieprzekładalności, a zatem ściśle biorąc nie należy do tematu, ale może rzucić dodatkowe światło na kłopoty tłumacza związane z aluzjami.

Trudno jest stwierdzić, że zasada ta zachowuje ważność we wszystkich przypadkach, ale na ogół im krótsze i prostsze może być wyjaśnienie w formie przypisu, tym łatwiej wpleść do tekstu przekładu ów „dyskretny komentarz”, o którym była mowa. Niektóre dość proste przykłady podaje Jarosław Iwaszkiewicz w cytowanym już wstępie do *Pieśni powszechnej*. Inne przykłady mniej więcej według wzrastającego stopnia trudności objaśnienia (niektóre pozycje mogą być sporne):

– Przy stole, przedobiednią porą,
Mężusiów brzuskowatych czworo,
W rannych pantoflach, cyklistówkach
Na mniej lub więcej łysych główkach,
Bez marynarek, ale w szelkach,
Gra w „telefona” lub „mauszelka”,
Inaugurując letni sezon...
(Gdzieżeś, Kostrzewski?) Grają, pałą,
Kto „Carski Diubek”, kto „Renome”,

A kto cygarko, które ścina
W takim breloczku-gilotynce⁴⁴.

Tu wystarczy podać w przypisie: „Franciszek Kostrzewski, 1826-1911, najwybitniejszy polski karykaturzysta i malarz obyczajowy swojej epoki”.

(Pół życia oddałby w tej chwili
Za „Słownik Chimerycko-Ziemski”
Mają volapük swój Chimery
I swój rachunek, dziwny wielce:
Na ziemi dwa i dwa jest cztery,
U Chimer – o czterdzieści więcej)⁴⁵.

Tutaj rzecz się komplikuje: trzeba opowiedzieć, że jest to aluzja do liczby „44” w takim a takim utworze literackim, że liczba ta wymieniona jest w kontekście niejasnym i w związku z tym była przedmiotem wielu dociekań, z reguły jałowych a często zgoła mistycznych, itd. O ile w wypadku poprzednim już sam opis dany przez Tuwima w znacznej mierze tłumaczył, o jakiego rodzaju karykaturę lub scenkę obyczajową mu chodziło, to tu odbiorca przekładu jest w dużo trudniejszej sytuacji, gdyż odsyła go się do pewnego miejsca w innym utworze, którego nie zna, przy czym nawet i to miejsce nie tłumaczy się samo, lecz wymaga znajomości całej „aury”, jaka się wokół niego wytworzyła.

Trochę podobnie jest i w wypadku poniższym:

„Patrzyłem z wasażka na chatę Bojków. Okna były jak zabite, a na podwórzu nikogo. Nawet małwy nie zakołysały się po kossakowsku. I powoli obraz Krysty się zatarł”⁴⁶.

W przeciwieństwie do aluzji do Kostrzewskiego autor nie tłumaczy tu właściwie nic, z tekstu nic nie wynika, na czym ma polegać ów „kossakowski” sposób kołysania się małw. Trzeba wiedzieć, że jest to aluzja do obrazów pewnego malarza, obrazów odznaczających się dość charakterystyczną manierą i swoistym doбором tematów. Mamy tu już do czynienia z daleko posuniętą abstrakcją: przez nawiązanie

⁴⁴ Tamże, s. 28.

⁴⁵ Tamże, s. 2 I 9-220.

⁴⁶ K. Pruszyński, *Karabela z Meschedu*, Warszawa 1948, s. 147.

do pewnej manieri malarskiej autor mówi, jak by wyglądała w ruchu scena, która się nie wydarzyła, lecz która w wersji statycznej byłaby w stylu obrazów Kossaka.

Ostatni przykład z tej serii:

Czytała wiersze. W owych czasach,
W przededniu „purpurowych szałów”,
A tuż po orgii czarnych żałób,
Nauczycielem serc kobiecych
był Asnyk, bukiet „ideałów”,
Dziś – zielnik, wtedy – bukiet świeży.
Błogosławiony wiek, co wierzył!⁴⁷

Obserwujemy tu znaczne zagęszczenie aluzji, z których każda jest metaforycznym określeniem bardzo złożonego zjawiska, nie zawsze dającego się wyraźnie zaklasyfikować: „purpurowe szały” to Młoda Polska, a więc pewien kierunek literacki; „wiek, co wierzył”, to pozytywizm, a więc pewien kierunek filozoficzny, polityczny i literacki; ale „orgia czarnych żałób” jest aluzją do pewnych nastrojów w społeczeństwie polskim w r. 1863, a więc nie odnosi się do żadnego określonego „kierunku” ani „prądu”, mówi o fakcie dość trudnym do zdefiniowania, a przynajmniej „zaszufladkowania”. Aluzję tę nie łatwo jest objaśnić nawet przypisem, a cóż dopiero „dyskretnym komentarzem wplecionym w tekst przekładu”. W omawianym wypadku zresztą skupienie trzech aluzji o dużym stopniu abstrakcji dodatkowo utrudnia zadanie tłumacza i sprawia, że cytowany fragment jest całkowicie nieprzekładalny⁴⁸.

To, co powiedziano powyżej nie wyczerpuje oczywiście zagadnienia typologii aluzji erudycyjnych, a jest tylko ramowym uszeregowaniem ich według stopnia przekładalności. Może się ewentualnie zdarzyć, że aluzja *x* w języku *A*, nieprzekładalna na języki *P*, *Q*, *R*, *S*, *T*...

⁴⁷ J. Tuwim, *Kwiaty polskie*, s. 248.

⁴⁸ Jest on chyba niezbyt zrozumiały nawet dla czytelników polskich. Autor tej pracy zwrócił się z zapytaniem o sens tych trzech aluzji do 12 studentów Uniwersytetu Warszawskiego z drugiego i trzeciego roku studiów filologicznych, reprezentujących w swych specjalnościach poziom od średniego do bardzo dobrego. Otóż ż a d n a z zapytanych osób nie potrafiła wyjaśnić wszystkich trzech aluzji w przytoczonym fragmencie.

daje się przetłumaczyć na język *V*. Taki wyjątek ma znaczenie wyłącznie praktyczne (przy tłumaczeniu z języka *A* na język *V*), ale, oczywiście, nie obala, ani nie podważa ogólnych konkluzji teoretycznych.

Swoistą, zafiksowaną formę aluzji erudycyjnych stanowi symbolika. W praktyce chodzi tu o aluzje do wierzeń lub pomysłów artystycznych, bardzo rozpowszechnionych w danej grupie a związanych z pewnymi realiami. W wielu wypadkach symbole takie okazują się w tekście nieprzetłumaczalne w tym sensie, że nie wywołują u odbiorcy przekładu zamierzonych reakcji lub wywołują reakcje niepożądane.

I w tej dziedzinie można się starać wyodrębnić rozmaite kategorie przypadków.

1. Brak określonych reakcji u odbiorcy: w starożytnych Chinach storczyk podobnie jak inne rośliny o aromatycznym zapachu oznaczał mądrego i wiernego ministra lub doradcę, u czytelnika polskiego natomiast nie wywołuje on właściwie żadnych określonych skojarzeń, które można by przypisać jego funkcji jako symbolu.

2. Reakcje inne niż zamierzone w oryginale: lilia (przynajmniej niektóre odmiany) u starożytnych Chińczyków oznaczała mądrego ministra, podobnie jak storczyk, pieprz itd. Dla Europejczyków lilia również może występować w charakterze symbolu, lecz kojarzy się wtedy z niewinnością pojmowaną z reguły jako dziewictwo. Tak więc i tu, i tam lilia jest symbolem ludzi odznaczających się pewnymi cechami dodatnimi (lub konwencjonalnie uważanymi za dodatnie), ale cechy te nie są identyczne, a ponadto w jednym wypadku odnoszone są do mężczyzn, a w drugim do kobiet. Kolor biały w Europie symbolizuje czystość, niewinność, dziewictwo, nastrój pogodny (strój ślubny), a na Dalekim Wschodzie jest kolorem żałoby. Kolor czerwony w Europie symbolizuje z jednej strony władzę monarszą, z drugiej – rewolucję, w Chinach natomiast szczęście i radość⁴⁹.

3. Reakcje, które mogą się częściowo pokrywać. W dawnych Chinach gołąb symbolizował płochość, dla Europejczyków oznacza on z jednej strony zaloty miłosne, a z drugiej – pojednanie i pokój.

⁴⁹ Sprawa ta nie była chyba badana, ale w związku z opisaną tu różnicą skojarzeń podstawowych dalszy ich bieg jest zapewne też rozmaity: dla Europejczyków czerwien rewolucyjnych sztandarów kojarzy się przede wszystkim z walką („A kolor jego jest czerwony, bo na nim robotnicza krew”), dla Chińczyków – ze szczęśliwością jako wynikiem udanej rewolucji.

Oczywiście, w podanych wyżej przykładach chodzi nie o wizualne przedstawienie tych symboli, lecz o odpowiednie wzmianki o nich w tekście.

Co się tyczy przekładalności, nasuwają się dwie uwagi. Po pierwsze, stopień przekładalności bywa różny – zależnie od danego przypadku. Np. w angielskim jastrzęb, w przeciwieństwie do tradycji polskiej, często jest symbolem dodatnim, wyrażającym sprawność, zręczność, siłę, szybkość działania, i zgodnie z przyjętym w Anglii zwyczajem symbolizuje on te właśnie dodatnie cechy lotników (własnego kraju). W Polsce jastrzęb kojarzy się raczej z okrucieństwem i rozbojem. Ale na określenie lotników własnego kraju możemy wygodnie posłużyć się sokołem jako symbolem wywołującym skojarzenia pozytywne i niemal dokładnie takie, jakie jastrzęb wywołuje u Anglików. W obu wypadkach chodzi o pokrewne sobie ptaki drapieżne, i zastąpienie jastrzębia przez sokoła może dać pożądany efekt. W innych przypadkach takie podstawienie symbolu innego, lecz pełniącego analogiczną funkcję, nie jest możliwe: jeśli byśmy tłumaczył tekst chiński, w którym mowa jest o grupie ludzi w białych żałobnych szatach, powiedzieli, że byli oni ubrani w szaty czarne, to rozbieżność skojarzeń będzie zbyt wielka. Uzyskamy wprawdzie zamierzoną w oryginale sugestię stroju żałobnego, ale pozostałe skojarzenia (typu wzrokowego) będą całkowicie różne. Tu trzeba uznać nieprzekładalność symbolu. W praktyce posłużymy się komentarzem w odnośniku, ale to już będzie objaśnienie, a nie przekład.

Po drugie, pewne symbole stopniowo umiędzynarodawiają się. Dotyczy to np. dwóch podanych wyżej przykładów: koloru czerwonego i gołębia, które ostatnio i w Chinach wywołują (lub zaczynają wywoływać) te skojarzenia, które utarły się w Europie. Jest to jednak zagadnienie odrębne, rozważane w rozdziale ostatnim tej pracy.

*
* *
*

Zupełnie inny rodzaj stanowią aluzje, które można określić jako aluzje językowe. O ile aluzje erudycyjne odznaczały się tym, że punkt ciężkości leżał w ich treści, a przy tym nawiązywały one zawsze do faktów jednostkowych, niepowtarzalnych (wydarzenie historyczne; anegdota jako wydarzenie charakterystyczne, choć skądinąd małej wagi; pomysł artystyczny; obyczaj lub wierzenie wywodzące się z

jakiegoś „pomysłu” światopoglądowego itp.), o tyle aluzje językowe polegają na formie wyrażania różnych treści, a zarazem dotyczą zjawisk powtarzalnych, jakimi są sposoby posługiwania się takim czy innym językiem przez różnych ludzi.

Wydaje się, że aluzje językowe można podzielić na dwie zasadnicze kategorie. Do pierwszej zaliczamy posługiwanie się w oryginalnie dialektami lub gwarami lokalnymi, zawodowymi itp., należącymi do tego języka, w którym sporządzony jest oryginał. Aluzje takie prawie nigdy nie są całkowicie przekładalne. Stosunkowo największy stopień przekładalności istnieje tam, gdzie chodzi o słownictwo, jak na przykład w gwarach zawodowych, złodziejskich itp., i gdzie wobec tego terminy z gwary języka oryginału można zastąpić odpowiednimi terminami analogicznej gwary języka przekładu. Jeżeli jednak aluzja dotyczy nie słownictwa, lecz cech wymowy lub wyraźnych błędów wymowy – swoista wymowa Wilnian i Lwowian (zmiękczenia i przeciągania), wymowa *-kie* i *-gie* zamiast *-kę* i *-gę* oraz *-my* zamiast *-mi* w gwarze warszawskiej, opuszczanie i dodawanie inicjalnego *h* w *cockney* (typu *'and zam. hand* i *halabaster zam. alabaster*) – trzeba uznać zupełną nieprzekładalność aluzji. (W przypadku gwar środowisk wielkomiejskich, jak *cockney* i „wiech”, oględny retusz może czasem dać pewien stopień analogii w przekładzie, natomiast cechy ściśle lokalne są nie do oddania). To samo dotyczy aluzji polegających na błędach gramatycznych, np. typowe dla *cockney* podwójne przeczenie w rodzaju *I didn't see nobody* jest nie do odtworzenia w polskim, gdzie podwójne przeczenie: *nie widziałem nikogo* jest jak najbardziej prawidłowe. Uwagi powyższe dotyczą *a fortiori* bardzo wyraźnych gwar i dialektów lokalnych, odznaczających się swoistymi cechami leksykalnymi, gramatycznymi i fonetycznymi, jak np. gwara podhalańska czy kaszubska lub dialekt szanghajski czy kantoński. Próba oddania np. w języku angielskim tych partii oryginału polskiego, które napisane są gwarą podhalańską, przez posłużenie się gwarą górali szkockich chybia celu, gdyż u angielskiego odbiorcy szkocka gwara skojarzy się ze Szkocją, nie zaś z naszym Podhalem. Efekt częściowy można osiągnąć za pomocą bardzo dyskretnego retuszu (użycie od czasu do czasu jakiegoś słowa lub zwrotu ze szkockiej gwary góralskiej dla podkreślenia, że w oryginale chodzi o gwarę góralską), ale takie rozwiązanie, nawet

jeśli będzie zręczne, nie oznacza całkowitej przekładalności, a najwyższej przekładalność częściową⁵⁰.

Druga kategoria aluzji językowych polega na używaniu w oryginale słów lub zwrotów zaczerpniętych z języka innego niż język oryginału, ewentualnie na wprowadzeniu całych zdań a nawet ustępów w innym języku. Celem takiego chwytu może być stworzenie kolorytu lokalnego (słowa malajskie u Conrada czy Maughama), podkreślenie pewnych obyczajów (francuskie dialogi w *Wojnie i pokoju* L. Tołstoja, przypominające o tym, że w opisywanym okresie język francuski był w pewnych sferach w codziennym użytku), dodatkowa aluzja do treści utworu, jak np. w *Kwiatach polskich* łacińskie wykrzykniki w ustach księdza Komody⁵¹ czy portugalski zwrot *muito obrigado*⁵² nawiązujący do pobytu w Brazylii, gdzie poeta zaczął pisać swój utwór, wreszcie aluzja erudycyjna np. *L'ordre règne à Varsovie*⁵³ (w tym ostatnim przypadku mamy do czynienia ze zbitką aluzji erudycyjnej z językową). Przy tej kategorii aluzji nie ma właściwie problemów, jeśli oryginał w języku *A*, zawierający aluzje językowe w języku *B*, tłumaczymy na język *C*, gdyż wówczas tekst w języku *A* tłumaczymy na język *C*, pozostawiając w przekładzie aluzje w języku *B* w ich pierwotnej postaci. Trudność powstaje w przypadku, gdy oryginał w języku *A* z aluzjami w języku *B*, tłumaczymy na język *B*, ponieważ wtedy w przekładzie zaciera się różnica pomiędzy podstawowym językiem tekstu (w oryginale język *A*) a językiem aluzji (w oryginale język *B*) i cały tekst przekładu sprowadza się do jednego tylko języka *B*. Rozwiązania całkowicie zadowalającego nie ma, w praktyce trzeba się posługiwać odnośnikiem wyjaśniającym, że dany fragment oryginału jest w tym języku, na który dokonujemy przekładu; nie ratuje to oczywiście efektu aluzji językowej, osiąganego w oryginale.

Jeżeli w jakimś tekście, jak np. w *Kwiatach polskich*, aluzje językowe są w kilku językach, trudności występują przy tłumaczeniu na każdy z języków, w którym sformułowana jest choćby jedna aluzja językowa; oczywiście w zależności od języka przekładu za każdym razem trudności te dotyczyć będą innej lub innych aluzji. W przypadku

⁵⁰ Aluzje omawianego typu mogą polegać również na użyciu dawnej ortografii itp.

⁵¹ J. Tuwim, *Kwiaty polskie*, s. 205.

⁵² Tamże, s. 253.

⁵³ Tamże, s. 225.

zbitki aluzji erudycyjnej z językową mamy do czynienia z dwoma problemami: nieprzekładalności aluzji erudycyjnej oraz trudności aluzji językowej, jeśli przekładu dokonujemy na język, w którym sformułowana jest aluzja językowa.

Czasami możemy mieć do czynienia z aluzją językową, łączącą w sobie oba wyżej opisane typy. Tak jest na przykład z językiem Lazara Gitmana, bohatera tytułowej noweli w *Karabeli z Meschedu* Ksawerego Pruszyńskiego. Gitman bowiem posługuje się językiem, który jest specyficznie zniekształconą polszczyzną z bardzo licznymi wtrętami w także zniekształconym języku rosyjskim.

Swoisty spłot zagadnień stanowią sposoby zwracania się do osób drugich oraz mówienie o osobach trzecich. Sprawa jest o tyle zawiła, że do aspektu tradycji kulturowych w postaci terminologii (określenia pokrewieństwa i tytuły różnych rodzajów) oraz konwencji obyczajowych dołącza się moment różnic w strukturach języków. Wyjaśnia to przykłady.

Współcześnie używane są w polskim trzy sposoby zwracania się do rodziców: 1. w drugiej osobie liczby pojedynczej (*Mamo, kiedy wrócisz?*), 2. w trzeciej osobie liczby pojedynczej (*Kiedy mama wróci?*), 3. w drugiej osobie liczby mnogiej (*Mamo, kiedy wrócicie?*), przy czym forma trzecia, najbardziej konserwatywna, używana jest bodaj wyłącznie w środowiskach wiejskich, i to już nie wszędzie, druga zaś w bardziej tradycyjnych środowiskach miejskich (szczegóły repartycji tych form pomiędzy poszczególne warstwy i grupy nie są tutaj istotne). Otóż w przypadku tłumaczenia tych form na język angielski struktura tego języka, nie rozróżniającego obecnie liczby pojedynczej od mnogiej w osobie drugiej, zacierą różnicę pomiędzy formą pierwszą i trzecią. Jeśli natomiast chodzi o formę drugą, zwracanie się w osobie trzeciej liczby pojedynczej, choć nie wykluczone przez strukturę języka angielskiego, nie jest praktykowane z przyczyn natury obyczajowej (a więc kulturowej) i w rezultacie trzem formom polskim odpowiada tylko jedna forma angielska (*When will you come back, mother?*).

W tych warunkach oddanie różnic środowiskowych względnie różnic w postawach społecznych (stopniu tradycjonalizmu), zaznaczonych w oryginale polskim przez zróżnicowanie form zwracania się do rodziców czy innych krewnych starszego pokolenia, okazuje się niemożliwe.

Podobnie ma się rzecz z formą dość już rzadko używaną, ale spotykaną jeszcze w środowiskach wiejskich, a polegającą na mówieniu o

osobie trzeciej w liczbie mnogiej (*Kiedy babka wróca? Jak się babka mają?*), co jest oznaką szacunku dla osoby, o której mowa. W przekładzie na angielski zaznaczenie tej formy jako odrębnej od zwykłej (*Kiedy babka wróci? Jak się babka miewa?*) nie jest możliwe, choć przynajmniej w czasie teraźniejszym i w czasach złożonych dałoby się to osiągnąć z czysto gramatycznego punktu widzenia. Nie jest możliwe, bo nie przewiduje takiej różnicy obyczaj.

Dalej: zwrot typu *Maciejowo* mówi nam, że osoba zagadnięta jest kobietą zamężną lub wdową, co najmniej w średnim wieku, ze środowiska najprawdopodobniej chłopskiego lub ewentualnie robotniczego. I ta forma jest nie do oddania w angielskim. Częściową przeszkodą jest różnica struktur obu języków (bogactwo morfologii polskiej w porównaniu z angielską, w danym przypadku sufiks *-owa*), lecz reszta konwencji związanych z tą formą należy do dziedziny obyczajowej.

Nie do oddania w angielskim są także różnice w polskich formach zwracania się przez *ty, wy, pan* oraz różnice pomiędzy bardziej oficjalnymi zwrotami typu *panie doktorze* a bardziej poufałymi *doktorze* (co do szczegółów patrz *Dodatek*), a dalej takie subtelności, jak *proszę pana, proszę wielmożnego pana, proszę jaśnie pana* itd.

Jeśli chodzi o tłumaczenie obcych zwrotów na polski, to choćby francuska forma *Monsieur votre fils*, która w obszerniejszej wypowiedzi skierowanej do rozmówcy wskazuje, że syn ów nie jest dzieckiem lub młodym chłopcem, co w pewnych przypadkach może stanowić informację zasadniczej wagi, nie może być ściśle oddana w języku polskim, gdzie *syn pana* nie wskazuje na to ograniczenie co do wieku.

Powyższe przykłady są jedynie bardzo fragmentaryczną ilustracją problemu, który może występować w najrozmaitszych postaciach zależnie od kombinacji języków oryginału i przekładu. Szczególny rejestr trudności w poszczególnych kombinacjach nie jest celem tej pracy, podobnie jak nie był on przy zestawianiu różnic w strukturach języków. Poważne trudności mogą występować zwłaszcza w przypadku języków tych ludów, które posiadają bardzo rozbudowany system form etykietalnych (*honorifica, auto-peiorativa, etc.*), jak np. chiński i japoński.

*

*

*

Odrębne zagadnienia to rola, jaką przy tłumaczeniu odgrywa wpływ czasu pomiędzy powstaniem oryginału a powstaniem przekładu. We własnym języku tekst stary wskutek swoich cech leksykalnych, gramatycznych, ortograficznych itp. wywołuje wrażenie dawności. (Występuje tu zawiła i stosunkowo mało zbadana kwestia identyczności genetycznej języka, stanowiąca szczególny wypadek identyczności genetycznej w ogóle⁵⁴). Zgodnie z definicją podaną w pierwszym rozdziale, pełna przekładalność wymagałaby stworzenia takiej wersji, w której odbiorca przekładu reagowałby nań jako na tekst pochodzący z tej samej epoki co oryginał.

Tutaj jednak nasuwają się dwie trudności decydujące o tym, że pełna przekładalność jest niemożliwa.

Po pierwsze, często zdarza się, że język, na jaki przekładamy, albo w ogóle nie istniał w okresie, w którym powstał oryginał, albo istniał w postaci już dzisiaj nie znanej i nie dającej się zrekonstruować. Na przykład, pomimo ewentualnych pułapek, jakie może kryć w sobie sprawa identyczności genetycznej języków, można w praktyce z całą pewnością powiedzieć, że język polski nie istniał w okresie, gdy powstała Iliada, oraz że nie znamy postaci języka polskiego w IX w. n.e.

Po drugie, nawet jeżeli język, na jaki przekładamy, istniał w okresie powstania oryginału i jest nam w przybliżeniu znany z tego okresu, np. język polski w XVI w., to jednak język ten nie jest już dla nas w praktyce językiem żywym i uzyskanie u odbiorców pełnego wrażenia, iż chodzi np. o polszczyznę szesnastowieczną, nie jest właściwie możliwe. Wpływ czasu i związane z tym zmiany w reakcjach odbiorców na poszczególne słowa czy sformułowania oraz wynikała z niego niepełna znajomość dawnej postaci języka mają charakter obiektywny, wykraczający poza subiektywną „nieudolność” tłumacza w stworzeniu pełnego odpowiednika, i dlatego i w tym przypadku musimy uznać nieprzekładalność za obiektywną.

W praktyce stosuje się rozmaite zabiegi archaizujące przekład, które oczywiście dają w efekcie jedynie przekładalność częściową.

Jak długi musi być okres czasu pomiędzy powstaniem oryginału a sporządzaniem przekładu, aby pojawił się efekt nieprzekładalności, trudno rozstrzygnąć ogólnie. Zależy to od tempa zmian w danym języku.

⁵⁴ Por.: H. Greniewski, *Elementy logiki formalnej*.

Wpływ czasu odgrywa również istotną rolę, jeśli chodzi o powstawanie trudności w rozumieniu oryginału, trudności obiektywnych, nie zawinionych w żadnym sensie przez tłumacza, jeśli materiały, które by umożliwiły zrozumienie tekstu, zaginęły. Sprawa jest zresztą skomplikowana, bo często rozmaite, nieraz bardzo pomysłowe metody prowadzą do odcyfrowywania tekstów, które w momencie ich odkrycia mogły się wydawać całkowicie nie do odczytania.

*
* * *

Dalszą przyczyną nieprzekładalności (przynajmniej częściowej) bywają różnego rodzaju gry słów. Pierwsza grupa to wieloznaczność słów. Rozpada się ona na dwie podgrupy: wieloznaczność wynikająca z polisemii oraz wieloznaczność wynikająca z homonimii.

Przy polisemii chodzi o słowa etymologicznie „te same”, użyte w taki sposób, aby wykorzystać wielość ich znaczeń.

Przykłady:

1. Dziś w Rio dżdżysty polski dzień
I polskie chmury niebo kryją.
Jak okręt-widmo, okręt-cień,
Dziś Łódź wylądowała w Rio⁵⁵.

2. *Assembly line jammed* – jako tytuł artykułu⁵⁶, co „normalnie” znaczy: „taśma montażowa zacięła się” (*assembly* – montaż, *line* – taśma), w danym wypadku ma znaczenie: „polityka zgromadzenia (ogólnego ONZ) w impasie” (*assembly* jako „zgromadzenie, domyślnie: ogólne zgromadzenie ONZ”, *line* jako „linia postępowania, polityka”). Wieloznaczność tytułu ma przez dodatkowe skojarzenia z montażem wzmacniać pojęcie zahamowania, impasu.

Pierwszy z podanych przykładów ilustruje również dość częsty wypadek wykorzystywania faktu, że niektóre imiona własne mogą mieć znaczenia samodzielne jako słowa pospolite (por. Rejent Milczek, Dona Perfecta itd.).

⁵⁵ J. Tuwim, *Kwiaty polskie*, s. 55.

⁵⁶ „The Economist”, nr 5861 z dn. 24. 12. 1955.

Przy homonimii mamy do czynienia z koincydencją formy słów etymologicznie różnych. Przykłady:

1. Tytuł *Stary człowiek i morze* interpretowany żartobliwie jako aluzja do potencji seksualnej: *stary człowiek i może*⁵⁷.

2. Żartobliwa definicja: „dychotomia jest to rozmielenie banknotu dziesięciozłotowego (w gwarze wiechowskiej „dycha”) na dwa banknoty pięciozłotowe”⁵⁸.

Należy zauważyć, że w obu przykładach oznaczonym numerem 1. mamy do czynienia z abstrahowaniem od różnic w formach graficznych: *Łódź* zestawiona ze słowem pospolitym *łódź* oraz para *morze* – *może*.

Druga grupa to gry słów polegające nie na identyczności formy (graficznej lub fonetycznej), lecz na podobieństwach formy. Przykłady:

1. *Bouchent* i *touchent* w wyrażeniu *les extremes se bouchent*, zbudowanym na zasadzie analogii do *les extremes se touchent*.

2. *Hatches, catches, matches and dispatches* (dosł. *wylęgi, łowy, stadła i wysyłki*) – określenie działu w dziennikach angielskich zawierającego zawiadomienia o urodzinach, zaręczynach, małżeństwach i zgonach. Gra słów polega oczywiście na doborze wyrazów rymujących się a przy tym o odcieniach znaczeniowych w danym wypadku ironicznych.

Gry słów są najczęściej nieprzekładalne (z punktu widzenia pełnej przekładalności), zwykle objaśnia się je prozaicznie w przypisach. Ponieważ jednak sama koncepcja gry słów oparta jest na przypadkowej koincydencji, może się zdarzyć, że da się uzyskać stopień przekładalności tak duży, iż graniczy on z pełną przekładalnością. Dotyczy to właśnie obu ostatnich przykładów:

1. *Przeciwnictwa się zatykają* – na zasadzie analogii do *przeciwnictwa się stykają*⁵⁹.

2. *Dziatki, wpadki, swatki i wysiadki* – rymy plus przynajmniej częściowo ironicznie dobrane znaczenia słów⁶⁰.

⁵⁷ Ta gra słów stała się dość znana w Warszawie bezpośrednio po ukazaniu się polskiego przekładu tego opowiadania Hemingwaya.

⁵⁸ Autorem tej „definicji” jest p. Andrzej Konarek.

⁵⁹ Przykład podany przez p. Juliana Rogozińskiego na zebraniu Sekcji Przekładu Oddziału Warszawskiego ZLP.

⁶⁰ Tłumaczenie autora tej pracy.

Rozdział IV

KONKLUZJE

Z całości powyższych uwag wynika, że istnieje wiele przyczyn obiektywnych, uniemożliwiających pełną przekładalność. W związku z tym – jeżeli założyć zgodnie z definicją przekładu, iż (obiektywna) nieprzekładalność choćby jednego miejsca w danym tekście oznacza brak pełnej przekładalności całego tekstu – znaczny, a może bardzo znaczny procent wszystkich tekstów należy uznać za niecałkowicie przekładalne przy pedantycznej interpretacji pojęcia pełnej przekładalności⁶¹.

Trzeba jednak zauważyć, że procent ten jest bardzo różny, jeżeli uwzględnić rozmaite rodzaje tekstów.

Niewątpliwie stosunkowo najwyższy procent tekstów całkowicie przekładalnych stwierdzimy wśród tekstów handlowych i technicznych.

Na trzecim miejscu znajdują się zapewne teksty naukowe. Tu jednak nasuwa się zasadnicze zastrzeżenie, iż często wśród nich teksty sformułowane w językach mieszanych (język naturalny plus partie w językach sztucznych, jak wzory matematyczne, chemiczne, itp. lub terminologia utworzona sztucznie – lekarska, zoologiczna, botaniczna) wykraczają poza kategorię tekstów w językach naturalnych *sensu stricto*, do których ograniczyliśmy nasze rozważania. Skoro więc trzeba wyłączyć teksty naukowe z zakresu nauk ścisłych, to procent całko-

⁶¹ Należy położyć nacisk na pedantyczność tej uwagi o charakterze teoretycznym. W praktyce fakt, że dany tekst jest w niewielkim procencie niecałkowicie przekładalny, nie podważa celowości dokonania przekładu.

wicie przekładalnych tekstów naukowych z dziedziny humanistyki okaże się niezbyt wielki. Największy będzie bodaj w prawie międzynarodowym, gdzie stulecia kontaktów doprowadziły do tego, że wiele terminów technicznych lub lokalnych (w rozumieniu niniejszej pracy) drogą mniej lub więcej samorzutnych zapożyczeń rozprzestrzeniło się w całym niemal świecie cywilizowanym. W innych działach humanistyki procent będzie mniejszy i będzie malał w miarę przechodzenia poprzez prozę publicystyczną, prozę literacką aż do poezji. W tych ostatnich kategoriach należy uwzględnić różne odmiany, co prowadzi do raczej nieoczekiwanych wniosków. Można bowiem poważnie podejrzewać, że proza psychologiczna i poezja liryczna, a więc gatunki na pozór bardziej „osobiste”, okażą się w większym stopniu przekładalne niż proza „realistyczna” i poezja epicka. Te dwa ostatnie rodzaje są bowiem znacznie silniej związane z takim czy innym środowiskiem lokalnym, co automatycznie pociąga za sobą ograniczenia przekładalności, a wiele tekstów lirycznych wolnych jest od silniejszego osadzenia w „lokalnych” realiach.

Bodaj całkowicie nieprzekładalny jest stosunkowo rzadki a ponadto niezbyt ważny, choć bardzo nieraz interesujący, gatunek literacki, jakim jest parodia. Dzieje się tak dlatego, że każda parodia *ex definitio- ne* jest aluzją erudycyjną, co w praktyce oznacza brak pełnej przekładalności. Jeżeli ponadto utwór parodiowany sam zawiera dużo aluzji erudycyjnych, jak np. *Kwiaty polskie*, to wówczas parodia – w danym wypadku *Bukiety z jarzyn* – nie tylko jest ogólną aluzją erudycyjną odniesioną do parodiowanego utworu, lecz również sama musi zawierać znaczną ilość aluzji tego typu, co stwarza wyjątkowe spiętrzenie aluzji, a w konsekwencji już nie „niecałkowitą nieprzekładalność”, lecz raczej „całkowitą nieprzekładalność”. Często również, w zależności od utworu parodiowanego, parodia musi dodatkowo zawierać aluzje językowe.

Okoliczności te, i tak już nader ograniczające procent pełnej przekładalności, odnoszą się ponadto do języków ludów na co najmniej średnim poziomie cywilizacyjnym. Jeżeliby uwzględnić wszystkie grupy etniczne łącznie ze wspomnianymi już Eskimosami oraz Indianami znad Amazonki i wziąć pod uwagę zwłaszcza przekłady z eskimoskiego na język owych Indian i na odwrót oraz z języków ludów cywilizowanych na język Eskimosów lub Indian, wówczas procent tekstów przekładalnych okazałby się znikomy.

W tych wszystkich przypadkach, gdzie wobec braku pełnej przekładalności możliwa jest tylko przekładalność częściowa – a więc zapewne we wszystkich niemal rodzajach tekstów z wyjątkiem może parodii jako w praktyce właściwie całkowicie lub niemal całkowicie nieprzekładalnych – dochodzą do głosu momenty natury subiektywnej. Rozwiązanie problemu w pewnym przynajmniej stopniu zależy od wyboru tłumacza. Skoro stworzenie pełnego odpowiednika jest z przyczyn obiektywnych niemożliwe, musi on zdecydować, zależnie od okoliczności, czy położyć nacisk na wierność filologiczną czy na efekt artystyczny itd., a jeśli dążyć będzie do efektu artystycznego, musi wybrać środki, jakie uważa za najwłaściwsze i najtrafniejsze. Musi z części efektu rezygnować, część ocalić, a więc jeszcze raz dokonać odpowiedniego wyboru. Tutaj może znaleźć zastosowanie odpowiednie użycie komentarza filologicznego w formie przypisów lub posłużenie się zasadą ekwiwalentów⁶². Słowem, tutaj jest miejsce na pomysłowość tłumacza. Z poprzedniej analizy widzimy, że okazji do pokazania tej pomysłowości jest aż nazbyt wiele. Tu jednak zaczynają grać rolę oceny artystyczne, zdolności indywidualne itd., które w tej pracy świadomie wyłączyliśmy z rozważań, gdyż pierwotnym założeniem był tłumacz doskonały i wyłącznie obiektywne granice jego działalności. Zagadnienia praktyczne (technika, koncepcje artystyczne) to problem inny, który tu nie będzie omawiany, a który w rozmaitych pracach poruszany jest znacznie częściej niż problem podstawowy. Ten ostatni, choć pierwotny w teorii przekładu, jest stosunkowo abstrakcyjny wskutek ograniczonego zastosowania w praktyce i dlatego zapewne był dotychczas raczej pomijany. Jest on istotnie może niezbyt ważny dla praktyka-tłumacza, który po pierwsze nie jest (i chyba nie może być) tłumaczem doskonałym w naszym rozumieniu, a po drugie, gdyby się nawet bardzo zbliżał do tego ideału, to i tak często stawałby wobec zasadniczych trudności obiektywnych. Z tego względu dotychczasowe prace kładły główny nacisk na zagadnienia bardziej techniczne. Ale zapoznanie się z teoretyczną stroną problemu posiada spore znaczenie praktyczne, gdyż pozwala praktykowi szybciej się zorientować, że w danym wypadku stoi wobec trudności obiektywnej, której nie zdoła pokonać w

⁶² Zasada ta jest ostatnio szeroko zalecana przez teoretyków i tłumaczy radzieckich. Pewne załączki tej metody spotykamy już w cytowanej książce J. P. Postgate'a *Translation and Translations*, s. 74-76.

sposób całkowicie zadowalający, i że w konsekwencji musi szukać rozwiązania częściowego.

*

*

*

Wypada wspomnieć o problemie ostatnio dość często rozważanym oraz wstępnie badanym od strony rozwiązań technicznych, a mianowicie o mechanizacji tłumaczenia. Nie będzie tu mowy o konstrukcyjnym aspekcie maszyn do tłumaczenia, gdyż nie ma to bliższego związku z podstawowym tematem niniejszej pracy⁶³. Chodzi natomiast o teoretyczne i praktyczne granice zastosowalności takich maszyn.

Twierdzenie, że tłumaczenie daje się przynajmniej w znacznym stopniu zmechanizować, budzi z reguły odruchowe niemal protesty wynikające z przekonania, że operacja tłumaczenia jest czynnością tak bardzo „umysłową”, iż maszyna nie zdoła jej wykonać. Protesty te są o tyle zrozumiałe, że cała teoria budowy maszyn matematycznych jest stosunkowo bardzo młodą dyscypliną, a w jej obrębie sprawa zastosowania tych maszyn do tłumaczenia jest z kolei jednym z najmłodszych jej działów.

Techniczne możliwości maszyn matematycznych są ogromne, a pełnego zakresu ich zastosowania chyba nawet nie potrafimy dziś przewidzieć. Jeśli chodzi o tłumaczenie zmechanizowane, już teraz przeważa przekonanie, że będzie go można bez specjalnych trudności dokonywać w zakresie tekstów zestandaryzowanych, to jest prostych stylistycznie i posiadających wyraźnie określone słownictwo (teksty naukowe, korespondencja handlowa). Lecz jak będzie w przypadkach trudniejszych?

Pierwszy problem jest wyraźnie teoretyczny. Tam, gdzie stwierdziliśmy obiektywne przyczyny uniemożliwiające pełną przekładalność, tam oczywiście maszyna nie może dać wyniku w pełni zadowalającego. Ale – jak widzieliśmy – w przypadkach takich, jeżeli w ogóle nie rezygnujemy z przekładu, to rezygnujemy z pełnej przekładalności na rzecz częściowej, i wówczas, nawet przy założeniu, że mamy do czy-

⁶³ Specjalne pismo poświęcone mechanizacji tłumaczenia wydawane jest przez The Massachusetts Institute of Technology. Z literatury dostępnej w Polsce bibliografię przedmiotu, już zapewne trochę przestarzałą, podaje Yehoshua Bar-Hillel w artykule *Can Translation be Mechanized?*, „Methodos”, 1955, t. VII, nr 25-26.

nienia z tłumaczem doskonałym, powstaje problem wyboru takiego czy innego rozwiązania częściowego.

We wszystkich tych przypadkach (lub w olbrzymiej większości z nich) musimy szukać rozwiązań indywidualnych. I tu powstaje drugi problem, bardziej już praktyczny. W każdym przypadku wybrane przez nas rozwiązanie możemy włączyć do zasad, którymi maszyna ma się kierować przy tłumaczeniu, a więc nie ma przeszkód teoretycznych co do wypełniania przez maszynę tych wszystkich czynności, jakie wykonuje człowiek. Ale w praktyce oznacza to, że dla umożliwienia maszynie wykonania przekładu – i to nie w pełni zadowalającego – jakiegoś jednego miejsca w tekście trzeba zmienić (odpowiednio wzbogacić) konstrukcję tej maszyny. Tutaj zarysowują się wyraźnie granice praktyczne zastosowalności maszyn: ich główną zaletą jest szybkość pracy, lecz owa zaleta dochodzi do głosu tylko wówczas, gdy pracy tej jest dużo i gdy może ona być wykonywana w sposób standardowy, co jest istotne w ogóle dla wszystkich procesów mechanizacji i automatyzacji. Tam gdzie konieczne jest, aby człowiek sam znalazł indywidualne rozwiązanie dla danego przypadku a następnie dokonał zawyżonych zmian konstrukcyjnych w maszynie tłumaczącej przez wzbogacenie jej o pewne urządzenia, które potem nie będą wykorzystywane może nawet latami, gdyż były potrzebne do tego właśnie indywidualnego przypadku, tam posłużenie się maszyną nie tylko nie daje żadnego zysku społecznego, lecz przeciwnie – powoduje zbędny nakład pracy.

Wynika z tego, że teksty o charakterze literackim jako cechujące się najmniejszym stopniem pełnej przekładalności, będą chyba w zasadzie wyłączone z tłumaczenia zmechanizowanego, gdyż w dziedzinie przekładów literackich maszyna powtarzałaby jedynie rozwiązanie za każdym lub prawie za każdym razem indywidualnie znajduwane przez tłumacza-człowieka, a następnie przekazywane maszynie w formie odpowiedniego wzbogacenia jej konstrukcji.

Istnieje wśród wielu specjalistów przekonanie, że często – a może z reguły – teksty przełożone mechanicznie będą przechodzić przez kontrolę odpowiedniego korektora, którego zadaniem będzie wygładzanie lub poprawianie tekstu tam, gdzie maszyna nastawiona na pewne teksty standardowe da przekład nieudolny lub błędny. Jest to już sprawa czysto praktyczna, której bliżej nie będziemy tu rozważać, gdyż w tych przypadkach *ex definitione* nie może być mowy o tłumaczeniu w pełni zmechanizowanym, a rozwiązywanie wszystkich trudniejszych problemów przekładowych spadać będzie właśnie na człowieka.

Oczywiście, szczegółowy zakres pracy przyszłych maszyn do tłumaczenia oraz zakres kontroli korektora ustalać się będzie w praktyce zależnie od potrzeb z jednej strony, a technicznej sprawności maszyn z drugiej.

* * *

Jest rzeczą zaskakującą dla badacza, gdy dochodzi do wyników w znacznej mierze odmiennych od tego, co zakładał w swej hipotezie roboczej przystępując do pracy, Spotkało to również i autora niniejszego studium, choć nie wiadomo, w jakim stopniu czytelnik w czasie lektury zdaje sobie sprawę z tego, że wynik jest w dużym stopniu nieoczekiwany.

Rozbieżność pomiędzy pierwotną hipotezą roboczą a ostatecznym rezultatem badań (oczywiście ostatecznym dla danego etapu pracy) polega na tym, iż autor – jak zapewne większość ludzi zastanawiających się nad tym problemem – sądził, że zagadnienia i trudności przekładu to w pierwszym rzędzie trudności językowe, trudności wynikające z różnicy struktur poszczególnych języków. Tymczasem okazało się, że punkt ciężkości leży w dziedzinie różnic tradycji kulturowych. Bo przecież, mimo braku badań statystycznych w tym zakresie, wydaje się, że wyraźnie najliczniejszymi przyczynami nieprzekładalności są terminy oraz aluzje erudycyjne, należące do sfery tradycji kulturowych, a nie struktury języka. Na trzecim bodaj miejscu należy postawić formy zwracania się do drugich, które – jak to widzieliśmy – również w dużym stopniu wykraczają poza sprawy językowe. Inaczej wprawdzie jest w poezji, gdzie bez porównania więcej znaczy struktura języka: istotna dla rymów częstotliwość pewnych kompleksów dźwiękowych, system akcentacyjny (przycisk, długość sylab, tony itd.). Ale za to w poezji nasycenie aluzjami erudycyjnymi jest także bez porównania większe, co chyba jakoś równoważy proporcje. Ostateczną odpowiedź dać mogą dopiero szczegółowe badania ilościowe typu dotychczas bodaj jeszcze nie uprawianego.

Konsekwencje stwierdzone stanu rzeczy są następujące. Skoro punkt ciężkości zagadnienia leży w różnicach tradycji kulturalnych, to niektóre trudności przekładowe będą zanikać szybciej, niż gdyby polegały one na różnicach struktur poszczególnych języków. Struktury te bowiem zmieniają się bardzo powoli, a ponadto zmiany nie muszą

oznaczać wzajemnego upodobniania się. Dużo natomiast łatwiej jest o upowszechnianie się lokalnych terminów technicznych w drodze zapożyczenia ich przez inne języki oraz o upowszechnianie się wiadomości z historii, literatury i sztuki poszczególnych narodów czy rejonów. Upowszechnianie się terminów technicznych obserwujemy zresztą już od dłuższego czasu: nazwy lokalnych jednostek monetarnych, miar, tańców, elementów stroju, typów budowli, rodzajów broni itd. w wielu wypadkach zostały już zapożyczone przez wiele różnych języków i proces ten trwa obecnie w przyspieszonym tempie. To samo odnosi się do znajomości dziejów politycznych i kulturalnych jednych narodów przez drugie, zwłaszcza teraz, w okresie olbrzymiego rozwoju środków komunikacji masowej (prasa, film, radio, telewizja).

Procesy te odbywają się przede wszystkim w obrębie pewnych kręgów kulturowych o stosunkowo większym stopniu wspólnych tradycji, a ogólnie biorąc – w obrębie narodów na wyższym poziomie cywilizacji. Ludy kulturalnie zacofane, pozostające na peryferiach świata cywilizowanego, uczestniczą w tym procesie bez porównania słabiej.

Można sobie również wyobrazić, że – w stopniu znacznie wolniejszym – intensywne kontakty międzynarodowe i międzykulturowe doprowadzą do zatarcia się wielu różnic w strukturach języków. Obserwujemy to zresztą już dzisiaj w postaci przejmowania idiomów w tekstach handlowych, technicznych i naukowych, co w pewnym stopniu oznacza upodobniania się składni, a także w postaci dość powszechnego upraszczania się form zwracania się do osób drugich. Oczywiście, z punktu widzenia potrzeb poezji, gdzie wykorzystanie środków strukturalnych danego języka jest szczególnie silne i obejmuje nie tylko system gramatyczny ale i częstotliwość występowania określonych sekwencji dźwięków i symboli graficznych, upodobnianie się języków będzie trwało szczególnie długo.

Przewidywania te zresztą nie mają dla nas w tej chwili większego znaczenia praktycznego, a służą jedynie do wskazania, w jaki sposób pewne – a bardzo odległej przyszłości może nawet wszystkie – teoretyczne problemy tłumaczenia automatycznie znajdą rozwiązanie, przynajmniej w zakresie tekstów nowopowstających, nie obciążonych tradycją różnic kulturowych i językowych.